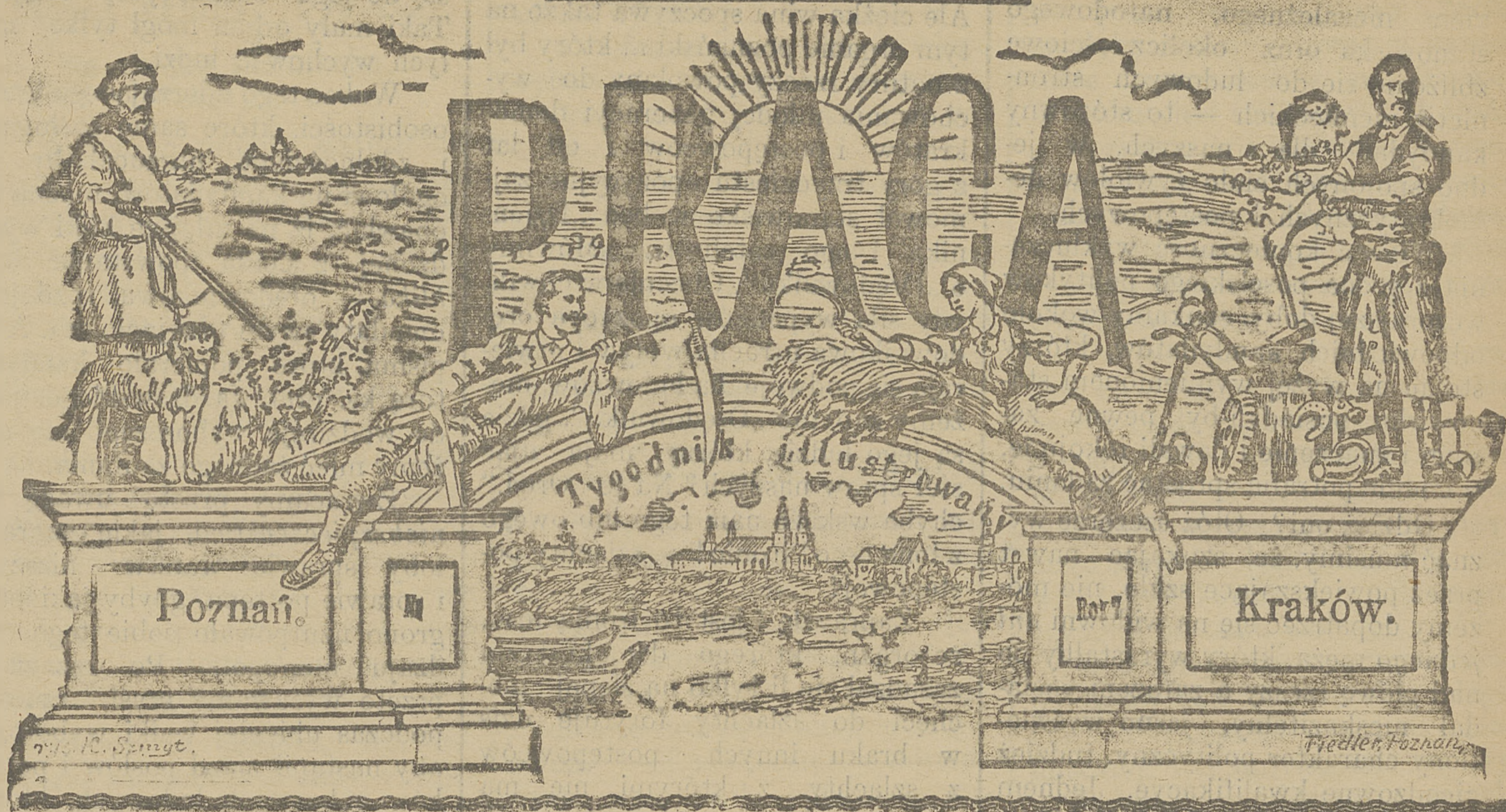


Treść nr. 37-go.

Bez kandydatów.

Nadchodzą wybory do sejmu i kwestya kandydatów wyłania się z pośród innych spraw na dobie, nabiera coraz więcej aktualności. W prasie odzywają się jeszcze dotywcze głosy w formie korespondencyi, ale z nich możemy już powziąść mniemanie, że w okręgach wyborczych oraz po za kulisami dziennikarskimi sprawa ta jest na porządku dziennym.

Przedewszystkiem tym żywiołom, które dobijają się skutecznie głosu i znaczenia w naszem społeczeństwie, chodzić będzie o to, aby przy oborze delegatów przeprowadzić swoich ludzi, będących rzeczywiście wyrazem dążności popularnych, a powtóre o wykreślenie z listy posłów sejmowych i nie dopuszczanie na ławę poselską tych, co noszą na sobie piętno dawnej polityki ugodowej i usiłowali sterować nią w duchu niezgodnym z tendencyą i przekonaniami sfery demokratycznej i postępowej.

Do tych ostatnich należy głównie ks. pr. Jażdżewski. Pomimo że na zjeździe delegatów otrzymał tylko drobną liczbę czarnych gałek, pomimo że nikt nie zaprzeczał mu rutyny parlament., zdolności niepoślednich i zasług, pomimo wreszcie że i tym razem otrzymał mandat do parlamentu, nie wątpimy ani chwili, że on właśnie stał się niepopularnym i niepożądanym. Bo robił też bodaj wszystko, co było w jego mocy, aby zrazić sobie umysły. Nie postępując z czasem, pozostał na swem przestarzałem stanowisku aż wyodrębnił się od mas, zerwał nici łączące z jądrem społeczności. Lista grzechów jego politycznych długa. Nie będziemy przypominali jego wystąpienia przeciwko naszym działaniom na G. Śląsku, jego wycieczek przeciw prasie polskiej, jego skarg przed junkrami prusk., jego umizgów do centrum i uścisków dłoni z ministrami, które dużo dały do myślenia. Jeśli wobec tego wszystkiego powierzono mu mandat do parlamentu, stało się to jedynie *cichaczem*, przez niedopatrzenie, przez omyłkę. Inaczej jednak niezawodnie postąpią sobie wyborcy przy wyborach do sejmu; jest bowiem rzeczą jasną, iż dla posła, kryjącego w zanadrzu tendencye ugodowe, w którego programie politycznym zawsze jeszcze figuruje trzymanie się fałd faryzeuszowskiej, rządowej partyi centrum, nie powinno być miejsca między naszymi przedstawicielami.

Zapatrywanie posła na stosunek Polaków do centrum jest głównem znamieniem charakteru politycznego. Kto każe nam nadal stać przy boku niemieckich katolików, a więc wbrew wszystkiemu kroczyć torem dawnej polityki — to konserwatysta, niezdolny do przystósowania się do całkiem zmienionej postaci rzeczy. Kto zaś zdając sobie jasno sprawę, że najniebezpieczniejszym wrogiem naszym jest centrowiec, wyciąga z tego wszystkie konsekwencye i zaleca Kołu polskiemu zajęcie cał-

kiem niezależnego, narodowego stanowiska oraz okolicznościowe zbliżenie się do ludowych stronnictw niemieckich — to stósowny kandydat dla naszych, w jedno spojonych ciało żywiołów demokratycznych i postępowych.

Widząc konieczność wykluczenia z grona poselskiego polityków wczorajszej doby, szukamy wokoło odpowiednich kandydatów, którzy stojąc na wyżej wymienionem stanowisku, posiadali-by pewne zasługi i znaczenie i dawali rękojmię, iż godnie potrafią sprostać zadaniu.

Gdzież oni? Otóż szczerze wyznać musimy, że szukając nawet przez powiększające szkło, nie możemy dopatrzeć się na widowni *ani jednego* męża, który wyrastałby po nad głowę rzeszy a zarazem posiadał nieskazitelny, jasno wyświetlony charakter polityczny, tudzież nieodzowne kwalifikacye. Jednem słowem, ludowcy są bez *kandydatów*. Narzuca się konieczność wyparcia z grona posłów ludzi wstecznych, a niema prawie zastępców, chociaż tak nie wiele wymaga się u nas od kandydata poselskiego.

Jest to fakt znamienny, który **powinien nasunąć różne refleksye. Wina za ten opłakany stan rzeczy, za ten *brak ludzi*, objawiający się prawie na każdem polu, spada na całe społeczeństwo, które, można powiedzieć, pracowało nad stłumieniem wszelkiej śmielszej myśli, nie dopuszczało do udziału w sprawach publicznych sił młodych, obdarzonych pewną indywidualnością, lecz wytworzywszy duszną atmosferę, hodowało w niej bezbarwnych karyerowiczów, manekinów i pospolitych zjadaczy chleba. Ale ciężka wina spoczywa także na tym organie poznańskim, który był z natury rzeczy powołany do wychowania młodej generacyi demokratów i postępowców i od lat z góry trzydziestu opozycyjne zajmował stanowisko wobec „Dziennika" i jego satelitów.** Mówimy o „Orędowniku". Obecnie w chwili, gdy siłą wypadków opozycya orędownikowa utraciła wpływ i otwierają się podwoje dla ludowców, możemy zapytać „Orędownika", gdzie są jego ludzie, którzy mają ująć ster spraw naszych? Na to „Oręd." chyba wskaże nam tego lub owego z łona — o! ironio! — szlachty postępowej!

Zaprawdę jest to ironią losu, że organ, którego demokratyzm zasadzał się li tylko na ślepej niechęci do szlachty forytuje dziś w braku innych postępowców z szlachty, z którymi nie ma w gruncie rzeczy zupełnie nic wspólnego. Bo „Orędownik" nie był nigdy organem postępowym; przeciwnie wsteczno-konserwatywnym acz antyszlacheckim. Nawiasem mówiąc, okazało się to świeżo w sprawie poznańskiej dla kobiet.

Że „Orędownik" po tylu latach nie daje nam ani jednego polityka — z wyjątkiem może mało samodzielnego posła Chrzanowskiego — nie dziwi nas wcale, albowiem p. dr. Szymański był niby paryski Rocheford tylko duchem negacyi — przeważnie opozycyonistą, krytykiem i burzycielem a nie budowniczym. Zresztą uprawiał kult grubego materyalizmu, parafiańszczyzny, prywaty i plotkarstwa w polityce, a żaden powiew wielkich nowoczesnych idei nie zakradł się do jego redakcyjnej oficyny. Taki mały organ mógł tylko małych wychować ludzi.

Wobec tego uderzającego braku osobistości, które same zasługami i zdolnościami narzucały-by się ogółowi na kandydatów, można się obawiać, iż na miejsce kliki wysadzonej z siodła powstanie *inna klika* — orędownikowa, rozdająca mandaty swym przyjaciołom. A do pisma, które popierało kandydaturę ks. prał. Jaźdżewskiego, jako do wodzireja wyborczego nie możemy mieć żadnego zaufania.

Zwracamy przeto uwagę na *niebezpieczeństwo*, jakie zagrażałoby sprawie warstw niższych i sprawie postępu, gdyby jakiebądź grono uzurpowało sobie tego rodzaju monopol. Po raz wtóry przeto wysuwamy myśl, rzuconą podczas ubiegłej walki wyborczej, aby nastąpił zjazd posłów i polityków o barwach ludowych, którzy wydali-by opinię o projektowanych nowych kandydatach poselskich. Nie podobno bowiem, aby kandydatura czyjaś zawisła od łaski „Orędownika", którego znana prywata, bałamutny „rozum polityczny" i ideowe ubóstwo nie dają najmniejszej rękojmi ogółowi. Z pomocą kompetentnych osobistości, posiadających zaufanie ludowców, może da się wyłuskać z korca polityków, wyciągających rękę po mandat, jeden lub drugi rokujący dobre nadzieje kandydat.

Tak jak w tej chwili przedstawiają się rzeczy, ludowcy są bez nowych kandydatów.

Quis.





Potrzeba mi było kilku kubicznych metrów ozonu. Dla istot mniej obeznanych ze składnikami chemicznymi naszej ziemi dodam, że poprostu pragnąłem świeżego powietrza. Pragnienie zresztą bardzo naturalne u mieszkańców miasta. Jakkolwiek bowiem mieszkam tak wysoko, że nieraz nie warto nawet wracać do domu, to jednakże w komnatach moich nie panuje bynajmniej świeżość wyżyn tatrzańskich. Fakt ten stwierdziła nawet specyalna komisya, w której skład wchodziły powagi pierwszej miary.

Sprytni ci przyrodnicy orzekli, że głównym powodem takiego stanu rzeczy są okna, któremi już to z ulicy, już to z owych czeluści, tu ogólnie podwórzami zwanych, dostaje się powietrze przesycone najokropniejszemi wyziewami. Uspokoili mnie jednakże, że bywa gorzej, mianowicie w tych miastach, gdzie brak wody do spłókiwania nieczystości. Przestrzegli mnie nawet, że gdyby z powodu specyalnej łaski najwyższych sfer zamknięto nagle wodociągi w mieście, co jest zresztą najradykalniejszym sposobem usunięcia wszelkich możliwych i niemożliwych, grożących lub niegrożących niebezpieczeństw, jakieby mogły wyniknąć z używania wody, to mam natychmiast Poznań opuścić, gdyż łaska taka jest obliczona na znacznie silniejsze natury jak moja i bardziej drwiące ze wszystkiego nosy. W razie takim mam się udać choćby do Macedonii byle nie do Metzu, gdzie właśnie z takiej łaski zrobiono użytek.

Właśnie kwestya wody w Metzu wykazuje znowu najlepiej, co wart jaki ustrój państwowy. Co to bywa n. p. termedyi w takich razach w republice. Komisye, znawcy, gorszące kłótnie, zbyteczne debaty i t. d. A tak dzieje się wszystko na rozkaz i kwita.

Ale odbiegłem nieco od tematu.

Był już wieczór kiedy zdecydowałem się odżywić płuca świeżym powiewem pól.

Mimo spóźnionej pory nie zawahałem się ruszyć na mojem kole po za miasto przez długą linią poznańskich przedmieść. Nie wahałem się zaś

Polski komitet wyborczy

na rzeszę niemiecką.

Ogłoszono projekt statutu dla centralnego komitetu wyborczego na całą rzeszę niemiecką. Projekt obejmuje 13 paragrafów i opiewa co następuje: „Siedzibą komitetu centralnego jest Poznań. W skład komitetu wchodzi 11 członków, obieranych przez obecnie najwyższe władze wyborcze. Z liczby członków przypada na Księstwo Poznańskie 4, na Prusy Zachodnie i Warmię 3, na Ślązk 2, na Berlin i Westalię po jednym. Nowo powstające organizacye wyborcze mają prawo przystąpienia do centralnego komitetu. O przyjęciu ich decyduje komitet centralny."

Szkoda, że projekt, wprowadzający zasadnicze zmiany w organizacyi wyborczej, ogłoszono tak późno. Podobno komitet nasz wyborczy nosi się z myślą załatwienia tej sprawy na jednem z posiedzeń delegatów. Byłoby lepiej, aby ogłaszający komitet był dał społeczeństwu i prasie sposobność rozważenia projektu. Tem bardziej, że projekt ten jest znowu tylko łataną robotą. Zapomniano w nim o tylu rzeczach, których zaprowadzenie stało się u nas koniecznością, — że można tu zastósować przysłowie: z wielkiej chmury mały deszcz.

Pomimo, że krytyka projektu tak bardzo ważnej ustawy wymaga dłuższego czasu, podamy przynajmniej zasadnicze wątpliwości i braki, które nam się nasuwają.

Jako czynności centralnego komitetu wylicza § 10 projekta:

a) Oznaczenie przed każdemi wyborami okręgów wyborczych, w których Polacy kandydować mają,

b) zawieranie kompromisu z innemi stronnictwami.

c) załatwianie sporów wyborczych w najwyższej instancyi.

Naszem zdaniem tylko ostatni punkt przyjąć można bez zmiany. Obydwa pierwsze nasuwają poważne wątpliwości.

Oznaczenie okręgów wyborczych.

Punkt ten skreślilibyśmy wogóle z kompetencyi centralnego komitetu. Pytanie, w którym okręgu Polak ma kandydować, jest lokalnej natury i mogą je tylko miejscowe władze rozstrzygnąć. Podstawę tworzą tu miejscowe warunki, — i ostatecznie w normalnych warunkach pytanie to rozstrzygać się powinno podług tego, czy Polak ma szanse przejścia czy nie. O tem nie mogą mieć miarodawczego zdania ludzie obierani do komitetu z innych prowincyi. Dlatego oznaczenie okręgów, w których Polak ma kandydować, należeć powinno jak dotąd tak i nadal do kompetencyi komitetów prowincyonalnych i władz współrzędnych, o ile nie wchodzą w grę kompromisy z innemi stronnictwami. Jest to kwestya druga.

Zawieranie kompromisów z innemi stronnictwami.

Władzy zawierania kompromisów z innemi stronnictwami nie można *wyłącznie* powierzyć komitetowi centralnemu. Wobec udziału głosów w komitecie centralnym, Poznań i Prusy Zach. mogłyby np. decydować o zawieraniu kompromisów na Śląsku. Wiadomą jest zaś rzeczą, jak mało w Poznaniu wiedzą ludzie o tem, co się dzieje na Śląsku. Nieznajomość ta tamuje najlepsze usiłowania miejscowych polityków, gdyż żywioły szkodliwe znajdują nieuprawnione poparcie.

Decydujemy z powagą wyroczni na oślep — nie zadając sobie nawet trudu poinformowania się o miejscowych stosunkach. Takie prowadzenie polityki z oddalenia mogłoby ogromną szkodę przynieść sprawie ślązkiej, gdyby się w składzie komitetu centralnego czynniki po temu ułożyły.

Z drugiej strony sprawa kompromisów doniosłą jest dla całego żywiołu polskiego w rzeszy niemieckiej. Tak np. ostatnie wybory w Nadrenii zaostrzyły stosunek całej frakcyi polskiej do centrum. Dlatego nierozważnem byłoby powierzać sprawę kompromisów wyłącznie władzom lokalnym. —

Wynika z tego, że najpraktyczniej byłoby obrać drogę pośrednią i postanowić, że o zawarciu kompromisów rozstrzyga interesowany komitet prowincyonalny na wspólnem posiedzeniu z komitetem centralnym. Ilość głosów komitetu prowincyonalnego możnaby bliżej oznaczyć i ograniczyć. W ten sposób i miejscowe stosunki doznałyby należytej oceny i nie pominiętoby względów ogólniejszej natury.

* * *

Tak więc treść projektu nasu-

---

z kilku powodów, wśród których nie ostatnim jest fakt, że ludność nasza jest dosyć spokojną. A zresztą odziedziczyłem po pradziadach nieocenioną rzecz: odwagę tak wielką, że ona co prawda w żadnym nie stoi stosunku z moim fizycznym wyglądem, gdyż pochodzi z czasów kiedy ludzie byli wielcy, silni i t. d., ale za to jest ona najpiękniejszą po przodkach a równocześnie i jedyną spuścizną — reszta krescencyi dawno się już rozlazła.

Minąłem wreszcie ostatnie zabudowania. Noc zrobiła się zupełna.

Święty spokój położył się głuchą ciszą na pola. W zadumie stanęły gwiazdy i zda się jakaś ręka wszechmocna wstrzymała potężny ruch świata. — Dziwny ma urok ten nasz polski kraj. Daleki obszar ugorów, pusty, szeroki, jak smutek bezmierny, niewypłakany żadną pieśnią. To kraj nasz, którego plon obfity codziennie w obce idzie stodoły.

Dużo tu jeszcze miejsca — przestronnie na tych polskich ugorach, jak w słowiańskiej piersi. Starczy jeszcze przestrzeni na pruskie koszary i pomniki Bismarcków. Zresztą czemu nie mamy mieć pomnika Bismarcka? — Ma Wilno Murawiewa, będziemy my mieli Bismarcka. Warszawie z kolei należy się spiżowy Suworow.

Były czasy kiedy pomniki z kamienia i spiżu nie były rzeczą tak powszednią jak dzisiaj, wówczas radzono sobie różnie. Najlepszym okazał się jednak sposób zastosowany swego czasu w Szwajcaryi. Nie dosyć im było, że zagarnęli wszystko na własny użytek. Trzeba było nauczyć wdzięczności jeszcze ten lud, co chodził z głową zwieszoną na piersi w smutku po stracie wolności. Ustawiono więc tykę, a na niej osadzono kapelusz wielkorządzcy i nakazano bić pokłony. — Wówczas, jak się to rzekło o pomnik spiżowy nie było tak łatwo jak dzisiaj. — Zmieniają się czasy, zmieniają się formy, treść historyi zostaje zawsze jednaką.

Ale przerwę te rozmyślania, które w naszych warunkach do smutnych nieraz prowadzą konsekwencyi a kiedy ochłonę trochę podam dalszy ciąg mojej przejażdżki.

Nagórny.



wa poważne wątpliwości. Ale ważniejszem dla nas jest to, o czem w projekcie zapomniano. A zapomniano bardzo wiele.

Ściślejsze organizacye.

Od dawna domagają się poważne głosy w społeczeństwie przeprowadzenia ściślejszej i stałej organizacyi. Pisaliśmy już o tem niejednokrotnie. Zwróciliśmy uwagę, że w celu agitacyi naszej wyborczej, każdy okręg delegata tyle powinien mieć poddelegatów lub mężów zaufania, — aby każdy z nich znał wszystkich wyborców okręgu swego i w razie potrzeby zagrzać ich mógł do tej lub owej działalności. Dalej powinni poddelegaci zbierać corocznie od wszystkich wyborców podatek choć najmniejszy z dwóch względów, aby społeczeństwu wpoić przekonanie, że jaksamo jak płaci podatek państwu, zobowiązanem jest do ofiarności na sprawę polską, — po drugie, aby mieć znaczny fundusz do dyspozycyi. Dobra agitacya jest rzeczą bardzo drogą. — W końcu powinien stać na czele wszystkiego komitet stały, który na każde zawołanie gotów byłby działać.

Biuro informacyjne.

Przy boku naczelnego komitetu powinno się znajdować biuro informacyjne. Bez ścisłych dat nie podobna prowadzić polityki: ani w parlamencie ani w kraju. Biuro informacyjne powinno posiadać wszystko, cokolwiek dla oceny agitacyi wiedzieć potrzeba. Powinno dawać posłom naszym materyał a zarazem informować prasę. Koszta utrzymania jego pokrylibyśmy ogólnym podatkiem. Taki obywatel nasz życie całe spędza za pługiem lub za kantorem, nie troszcząc się o sprawy publiczne. Wtedy go odrazu nieprzygotowanego powołują do wzięcia udziału w komitecie lub w wiecu. Przyjeżdża i brak wiadomości swych społecznych uzupełnia frazesem, polityczną tyradą lub zgadywaniem na oślep. Inaczej być nie może i nie będzie, dopóki nie stworzymy biura informacyjnego.

O tem wszystkiem zapomnieli autorowie projektu. Chcą stworzyć nic więcej jak nową instancyą w naszej już i tak nudnej i ospałej organizacyi. Zamiast zacząć od podwalin, zaczynają dom budować od dachu. Bez zaprowadzenia zmian, o których była mowa, stworzenie nowego, dorywczego komitetu pozostanie bez wpływu na życie nasze społeczne. Czeka nas wielka praca i z roku na rok trud odkładanej pracy rośnie, a my bawimy się w komitety i projekty. Kiedyż nabierzemy trzeźwego sądu o tem, co u nas jest najpotrzebniejszem i zabierzemy się do prawdziwej — racyonalnej pracy?!

Jur.



Z Galicyi.

Kraków, dnia 5 września 1903.

(Przyjazd cesarza. — Złożenie zwłok śp. Siemiradzkiego na Skałce. — Nowe defraudacye. — Brak ścisłości i sumienności. — Sprawa cukrowa. — „Kartel narodowy". — Ogólny zastój. — Niementowski i Walewski, czyli Prusacy w Galicyi. — Budżet Galicyi na rok przyszły. — Sejm.)

Za tydzień mniejwięcej, a więc właśnie w chwili ,gdy numer ten „Pracy" znajdzie się w ręku licznych jej Czytelników, Galicya witać znów będzie cesarza *Franciszka Józefa.* Monarcha przybywa na manewry, zabawi jednakże dwa dni we *Lwowie* i przyjmie tam członków Sejmu krajowego. Lwów już się przygotowuje na przyjęcie dostojnego gościa, któremu Galicya pod względem narodowym dużo ma do zawdzięczenia. Ale też *tylko* pod względem narodowym. Pod wielu innymi względami rządy Franciszka Józefa nie przyniosły szczęścia tej wielkiej dzielnicy, a obecnie coraz dotkliwiej dają jej się we znaki. Jednakże *jego* właśnie o to winić *nie można.* Franciszek Józef jest monarchą konstytucyjnym, jest nawet *szczerze* konstytucyjnym. Jako taki nie może narzucać swej woli we wszystkiem rządowym i prawodawczym czynnikom w swem państwie; chociażby więc pragnął nie może ich polityki zmienić na korzyść Galicyi, nie może sprawić, aby jej tak nie wyzyskiwano pod względem ekonomicznym jak to się dzieje. Wina to raczej *Galicyi samej* i jej *parlamen-*

Wspomnienie
z kaszubskiego brzegu.

Nie na Kaszuby wiodła mnie droga, lecz stary Gdańsk, malownicze jego okolice z przestrzeniami wiślanej wody, z klasztorem oliwskim pełnym polskich pamiątek i z grzbietem wzgór lesistych miały dla mnie zawsze nieprzeparty urok, więc zboczyłem z drogi, by chociaż w przelocie rzucić znowu okiem na brzeg kaszubski — na polskie morze.

Hasło: „nie jedźmy do badów" społszyło wielu Polaków i wpłynęło niemało na frekwencyą Warszawiaków w Copotach. W roku zeszłym prócz garstki żydów warszawskich trudno było spotkać Polaka na nadmorskich piaskach ku niemałemu strapieniu hotelistów, kupców gdańskich i hakatystów, którym polski rubel miły. Ale w tym roku frekwencya Polaków zwiększyła się znowu i jeszcze rok, dwa, a Copoty zaroją się jak dawniej naszymi gośćmi kąpielowymi, bo słomiany ogień postanowień wypali się i hasło straci na sile. Zresztą Copoty są zanadto dogodnie położone dla Polaków z Prus, Poznańskiego, Warszawy i części Królestwa i zanadto wiele posiadają przynęt, aby bojkot dał się przeprowadzić kategorycznie i utrzymać. Gdyby nawet Połąga odpowiadała zupełnie wymogom komfortu i wyrosła na modną „plażę" wątpię, czy da się Polaków odstręczyć od ujścia Wisły i Copot.

Czy wobec tego nie byłoby rzeczą racyonalną wyłączyć Copoty z pod bojkotu uzdrojowisk i kąpieli niemieckich? Czy nie zalecało-by się, jak radził podobno pewien Czech — zdobyć Copoty?

Dla ekonomicznie silnych, przedsiębiorczych i sprężystych Czechów byłoby to dość łatwem zadaniem, ale u nas wydaje się niedościgniona utopią. A przecież powołanie do życia dwóch lub trzech pensyonatów dla gości kąpielowych, restauracyi i kawiarni polskiej, nie jest przedsiębiorstwem przekraczającem nasze siły. Wokoło takiego ogniska powstały-by wnet z prywatnej inicyatywy sklepy, a inne składy starały-by się o „polską usługę" dając zatrudnienie naszym rodakom. Rozkwitnąwszy, letnia kolonia wywierała-by też pewien wpływ na okoliczny lud kaszubski.

Jest to sprawa, którą w pierwszym rzędzie Warszawa, jako najwięcej dostarczająca gości Copotom, a więc najwięcej interesowana — powinna się zająć pospołu z inteligencyą polską w Gdańsku.

* * *

Kąpiel — dolce far niente na piaskach lub w koszu — przechadzka po pomoście, — przegląd osób i tualet przed kurhauzem — koncert — wycieczka do Oliwy, do Gdańska, Wisłouj-

...arniej reprezentacyi w Wiedniu, która w obronie praw oraz interesów Galicyi za mało okazuje odwagi cywilnej i energii. Ponieważ zaś wdzięczność dla cesarza za przywrócone Galicyi prawa narodowe w sercach Polaków tutejszych nie wygasła jeszcze, przeto znajdzie on i teraz serdeczne, owacyjne przyjęcie, które właśnie w obecnej chwili, gdy ma takie utrapienia z Madziarami, gdy sam się skarzy, że w tak podeszłym wieku borykać się musi z tylu przeciwieństwami, będzie dla niego zapewne wielką pociechą i satysfakcyą.

Właśnie ze względu na obecne przesilenie na Węgrzech, które zamieniło się już na prawdziwe przesilenie państwowe, grożące rozbiciem całej monarchii, ma ten pobyt cesarza w Galicyi nawet wielkie *polityczne* znaczenie. Wobec faktu, że Czesi zabierają się do tego ,aby, jak mówią Niemcy, „narodowo separatystyczne żądania Madziarów „przetłomaczyć na język czeski" — to znaczy, żądać i dla siebie takich ustępstw narodowych, pomoc Polaków ma dla rządu podwójną wagę. Nie ulega więc wątpliwości, że przy tej sposobności nie obędzie się także bez usiłowań skaptowania Polaków dla rządu w tej ciężkiej chwili. Cesarz odwoła się zapewne do ich „wypróbowanej wierności" — no i uzyska to, że *Koło polskie* w Wiedniu ochotnie znów pospieszy na pomoc rządowi. W tym wypadku wymaga tego poniekąd nawet polityczno-narodowy interes Galicyi. To jednakże nie powinnoby powstrzymać *Koła* od żądania w zamian za tę pomoc — realnej jakiej nagrody w innych dziedzinach. Niestety, nie można się spodziewać, iżby Koło umiało tak wykorzystać obecne przesilenie.

Gdy tak Lwów przygotowuje się do przyjęcia monarchy, Kraków czyni przygotowania do innej uroczystości, smutnej wprawdzie, bo pogrzebowej, ale wzniosłej i rzewnej zarazem, do spłacenia długu względem śp. Henryka *Siemiradzkiego.* Około 20 bm. zwłoki tego mistrza pędzla złożone zostaną w grobie zasłużonych na *Skałce,* obok Długosza, Pola, Kraszewskiego, Lenartowicza i Asnyka. Działalność artystyczna Siemiradzkiego spotyka się wprawdzie dziś właśnie w kołach malarzy naszych z cierpką i gorzką krytyką. Jeszcze za życia nazwano go przecie: „genialnym mydlarzem." Obecny kierunek malarstwa naszego pogardza czystą, jasną — lecz rzeczywiście trochę bezduszną techniką tego mistrza pędzla, nie należy jednak zapominać o tem, że rozsławił on i spopularyzował imię polskie w dziedzinie malarstwa w Europie bardziej i szerzej, niż którykolwiek z innych malarzy naszych, nie wyjmując Matejki. Hojny dar jego dla Krakowa w postaci słynnych „Pochodni Nerona" dał też początek Muzeum narodowemu w tem mieście. Słusznie tedy już z tych względów należy mu się ten dług wdzięczności i uznania ze strony narodu, do którego spłacenia obecnie przystępuje Kraków. Uroczystość sama zapowiada się poważnie i okazale.

Po za tem same tylko niepomyślne wiadomości donieść wam mogę. Już z gazet codziennych wiecie, że tu w Krakowie popełniono nową ogromną kradzież grosza publicznego. Urzędnik kierujący w Towarzystwie kredytowem rękodzielników, niejaki *Müller,* sprzeniewierzył przeszło 350,000 koron. Romantyczna to poniekąd historya, ale treść jej niezmiernie dla nas upokarzająca i bolesna. Przedewszystkiem zapytać się trzeba, jak to stać się mogło ,że urzędnik Towarzystwa kradł od lat siedmiu tysiące za tysiącami, że skradł razem *połowę* wszystkich kapitałów w Towarzystwie złożonych, a organa *nadzorcze tego nie zauważyły?* Wyjaśni to może proces, jaki niezadługo w tej sprawie toczyć się będzie. Lecz czy wykrycie winy i winnych spowoduje jakąkolwiek poprawę nad wszelki wyraz smutnych u nas stosunków? Co do mnie, to wątpię o tem niestety. Lekkomyślność w sprawach finansowych, niezdolność i niedbałość tak się tu zakorzeniły, że na ich wyplenienie potrzeba będzie stokroć gorszych jeszcze ciosów. I dziś, gdy to piszemy, obiegają pogłoski o podobnych malwersacyach w dwóch innych miastach galicyjskich. Gdyby Niemcy sami dziś pod tym względem nie byli skompromitowani, jakżeby mogli szydzić z nowego tego objawu „polskiej gospodarki". Żelaznej tu potrzeba ręki w tej tak ważnej dziedzinie, a ręki tej jak niema tak niema.

Nowe niebezpieczeństwo zawisło także nad naszym ledwie z powijaków wyrosłym przemysłem *cukrowym.* Mamy tu w polskiem ręku zaledwie dwie cukrownie, a i te utrzymać się mogły ledwie z trudem. Zanosiło się na to, że nareszcie byt ich będzie zapewniony; wyjątkowo energiczniejszej akcyi Koła polskiego powiodło się w nowej ustawie o skontyngentowaniu

---

ścia, Heubudy lub poblizkiego Adlershorstu.....

Dzień upływa tak za dniem w Copotach. W tej malowniczej osadzie spadającej z pagórka aż po brzeg morski i rozlewającej się szeroko wzdłuż parku nadbrzeżnego, wśród tych domków usłanych na murawie i spowitych w zieleń drzew żyje jakiś duch sielskości. Zapominasz tu o troskach, o walkach i burzach życiowych, zatracasz coś z siebie w ciszy i urokach natury, obejmujących cię matczynem ramieniem. Nikt się tu nie spieszy, nikt nie goni za „nerwem wszechrzeczy;" po ulicy „morskiej" snują się ludzie powłóczystemi krokami — wypoczęci, ogorzali, w lekkich, flanelowych kostyumach, trzewikach z żaglowego płótna, a na twarzach ich maluje się czerstwość, beztroska i uśmiech.

Ale wnet wyrywasz się z tej rutyny kąpielowego istnienia, spragniony wrażeń świeżych. Słowa: Kaszub, Kaszuby odbijają się tyle razy o uszy, że gdyby nawet natura obdarzyła cię minimalną tylko dawką ciekawości, a lud, jego obyczaj, jego dusza, nie przedstawiał dla ciebie interesu, przerwiesz flirt, rzucisz kurhaus i pomost, by chociaż w przelocie popatrzeć na naszych Kaszubów.

W tym celu nie trzeba nam jeździć na Helę (albo raczej — jak mówi poprawnie Kaszub — *na Hel)* ów półwysep wąziutkim łukiem wrzynający się w morze, który tworzy zatokę pucką. Osada rozpostarta na ostatnim jego krańcu jest nawskroś niemiecką, — kolonią gdańską, a obecnie własnością fiskalną. Na wydmach piaszczystych, zadrzewiałych z ogromnym nawałem pracy, sterczy latarnia morska, a u stóp jej, nad brzegiem zatoki rozpościera się wieś.

W promieniach słońca uśmiechnięta, nakrapiana czerwonemi plamami dachów, z wieżą kościołka z szeregiem wil i wdzięcznym kurhauzem w stylu skandynawskim — zda się przystanią pokoju i szczęścia.

Podmywają ją potulne fale, wiecznym niemal szmerem kołysząc ustronie do północnu. Nie ściga cię tu żaden odgłos wielkich mrowisk ludzkich, pokój wielki przysłania wszystko. Wypoczywasz.

Na każdym kroku oblegają nas przygodni przekupnie flonder wędzonych, ale rzadko tylko napotyka się między nimi Kaszuba, a jedynem świadectwem, iż to kaszubska ziemia, jest oryginalna wila pana dra Romana Komierowskiego, na której czytasz napis, arcy niemile skaczący w oczy hakatystom: *Checza kaszebska.* „Chata" ta na jasno żółtych, nagich piaskach, spozierająca na zatokę, o wysokim i spadzistym dachu z stożkowatym, zwężającym się kominem ma być okazem kaszubskiej budowli. Wyznaję jednak,

austryackiej produkcyi cukrowej wywalczyć dla nich kontyngent, odpowiadający mniej więcej konsumcyi krajowej. Tymczasem pomyślny ten rezultat w niwecz znów obróciła komisya cukrowa brukselska, uznawszy ową ustawę o kontyngencie za niezgodną z przepisami konwencyi brukselskiej. Ustawa została unieważniona, a tem samem wydano znów cukrownie galicyjskie na pastwę zabójczej konkurencyi cukrowni austryackich i czeskich. Zamierzają też one ubić ten nasz przemysł, zasypując *na razie* Galicyę cukrem po tańszej cenie, niż ta, na którą zdobyć się mogą bez szkody *nasze* cukrownie. Czyni to już mianowicie wielkie cukrownicze Towarzystwo czesko-niemieckie w *Chropinie*. Jedno z pism galicyjskich wystąpiło wobec tego z projektem, ażeby publiczność polska w Galicyi utworzyła pewnego rodzaju *kartel narodowy* i kupowała tylko cukier krajowy, chociażby po wyższej cenie. Wiecie atoli z własnego doświadczenia, jak trudne do przeprowadzenia są takie kartele.

Tu zaś o tyle jeszcze trudności są większe, ponieważ zamożne sfery żydowskie no i całe falangi handlarzy żydowskich do kartelu wcale się nie zastósują. Cały świat cieszy się dziś z potanienia tego ważnego artykułu spożywczego, tylko w Galicyi tę słodką kwestyą zatruwa gorycz obawy o los przemysłu cukrowniczego w kraju.

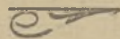
W dziedzinie handlu i przemysłu panuje u nas wogóle niebywały zastój. A tu zachodzą wypadki, że ważne przedsiębiorstwa zarobkowe oddaje się w ręce *obce*, nawet w ręce nieubłaganych wrogów naszych *Prusaków*. Tak postąpili posłowie *Niemeniowski* i *Walewski*, którzy nie zbyt pięknemi manewrami, a jeszcze mniej piękną egoistyczną natrętnością przy pomocy Koła polskiego uzyskali od rządu koncesye na linie kolejowe *Lwów-Podhajce* i *Tarnopol-Zbaraż* — a wykonanie tych koncesyi powierzyli prusko-niemieckiej firmie. Słusznie zawrzał na to oburzeniem cały kraj, lecz sam fakt smutny, bogdaj czy da się jeszcze naprawić.

Na tych dwóch posłów uderza teraz także „Czas" krakowski niezwykle gwałtownie, chociaż należą oni do *jego stronnictwa*. Jest to atoli manewr bardzo przejrzysty, ma bowiem na celu jedynie zbałamucenie opinii i oczyszczenie konserwatywno - stańczykowskiej większości *Koła*, która tak skwapliwie dopomogła tym panom do zdobycia tych koncesyi, *kosztem innych ważniejszych daleko potrzeb Galicyi. Prywata i nic, jak prywata!!*

Wydział krajowy wygotował już *preliminarz budżetowy* na rok przyszły. Wykazuje on w rubryce dochodów sumę 25,171,364 koron, a w rubryce wydatków 25,146,414 koron, zatem zwyżkę dochodów w kwocie 24,950 koron, co najważniejsze zaś, że mimo, iż wydatki zwiększyły się o blizko *półtora miliona koron* — nie nakłada na kraj podatków *wyższych*. Z uznaniem podnieść należy, że wyznacza on na cele oświaty *520,000* koron więcej, niż budżet poprzedni; — mimo to dochody Galicyi jeszcze nie wystarczają na należyte zaspokojenie *wszystkich* potrzeb krajowych, i dużo z nich czekać musi do „stósowniejszej chwili."

Budżetem tym zajmować się będzie *sejm krajowy*, który zwołany zostanie w drugiej połowie bieżącego miesiąca. Obawiać się tylko należy, że podczas krótkiej swej sesyi, nie zdoła uporać się ani z tem swojem zadaniem, ani z tylu innemi *bardzo piekącemi*, lecz o tem w przyszłym moim liście obszerniej się rozpiszę.

Krakowianin.



Z Warmii.

Bawiąc przez pewien czas na Warmii, słyszałem niemało o tamtejszych stosunkach, które nazwać muszę bardzo smutnemi.

Centrowcy są panami sytuacyi a pomiędzy Polakami panuje niemal zupełny zastój. Przedewszystkiem przykre robi wrażenie, że szczupła garstka inteligencyi w Olsztynie nie poczuwa się do obowiązku narodowego. Jest tu lekarz Polak i kilku młodych kupców, którzy mogliby i powinni pracować w towarzystwie „Zgoda" a żaden z nich nie przykłada ręki do rozwoju tego towarzystwa, lecz bratają się z Niemcami i stronią od ludu. I tak towarzystwo to, które swego czasu liczyło setki członków, dzisiaj wegetuje tylko. Nie wiele zaś kosztowało by zachodu dźwignąć je na nogi, gdyby tylko inny duch wstąpił w naturalnych przewodników. Jedynie „Gazeta Olsztyńska" opiekuje się „Zgodą". Ale i „Gazeta Olsztyńska" nie znajduje się w stanie kwitnącym; nie liczy wielu abonentów a księża-germanizatorzy *tak jak na Śląsku* przeciw polskim pismom walczą przeciw niej w myśl ks. kard-

---

że nie spotkałem podobnego rysunku chaty w kaszubskich wioskach.

Chcąc popatrzeć na Kaszubów wybrałem się do *Oxewia* (Oxhöft) wsi o dwie stacyjki odległej od Copot. W drodze miałem sympatycznego towarzysza — wyrostka kaszubskiego, który wracał z roboty z nizin gdańskich do rodzinnej wsi. Mówił względnie ładną polszczyzną, zdradzał niemało inteligencyi a przytem posiadał wiele uroczej młodzieńczej prostoty. Z łaski Niemców nazywał się Anton Wansel, z ojca zaś — Antoni Węzeł. Wśród „gassów" gdańskich — mówił mi — nie czuł się u siebie ,bo tam człowiek może pobłądzić, żyzne niziny pod Gdańskiem imponowały mu stokroć więcej.

Gdy mu oznajmiłem, że ongi królowa Marysieńka zjeżdżała na kąpiele do wioski w jego sąsiedztwie, wielce zainteresowany począł mnie wypytywać o króla Sobieskiego i wiele, wiele rzeczy. Jasne jego oczy zdradzały skupioną uwagę a książeczkę, ofiarowaną sobie w upominku, uważał za dar cenny. Idąc z stacyi Gwinden do Oxewia miałem po obu stronach drogi schludne, ładne chaty wsi Gwin, niczem nie różniące się od naszych. Wszędzie na: „niech będzie pochwalony" odpowiadano mi: „na wieki." Lud żyjący z roli lub rybołóstwa zdaje się żyć dostatniej aniżeli przypuszczałem. Mimo to uderza, że rozwija się bardzo powoli. Z Gwin do Oxewia wiózł mnie łodzią stary rybak z wnukiem, ładnym chłopakiem, któremu dawałem lat czternaście. Okazało się zaś, że miał siedemnaście. W kilku innych wypadkach zrobiłem tę samą obserwacyę.

Rozmowa z rybakiem napotykała na trudności, bo zaprawdę nie łatwo zrozumieć kaszubskiej gwary — tem trudniej, iż zwykle trzygłoskowe wyrazy akcentują na pierwszej. Nie usiłuję nawet dać próbkę tego narzecza, znanego zresztą z opowieści o „panu Czarlińskim, co jezdzał do Pucka po sece". Z interwiewów mych z tymi synami Bałtyku wyniosłem wrażenie, że to lud kulturalnie zaniedbany. Obywatelstwo okoliczne nie zajmuje się nim wcale, nie słyszało bodaj o pracy nad ludem. Co prawda bowiem samo potrzebuje bardzo kultury i — polskiego ducha.

Miałem sposobność posłyszeć to i owo o Kaszubach; spotkałem bowiem wypadkiem żyjącego wśród nich proboszcza z okolicy. Niestety nie dowiedziałem się niczego o Kaszubach, natomiast wiele nie nowych rzeczy o — panu Kulerskim. Strzepnąwszy pył poznański z butów, pragnąłem zapomnieć o istnieniu ugodowców, ludowców i wszystkich takich... owiec, ale jakieś fatum ścigało mnie widocznie, bo nawet tam, nad brzegiem szafirowego morza, wśród ciszy wiejskiej wtłaczano mnie w młynek polityczny i druzgotano kości — nie moje, ale pana Kulerskiego na mąka, którą trzeba zniszczyć co do jo-

Koppa. Nie dawno donosiła „Gazeta Olsztyńska“, że pewien ksiądz czytelnikom „Gazety“ *nie chce dawać rozgrzeszenia.*

Tak to centrowcy odpłacają się „Gazecie Olsztyńskiej“ za to, że wiernie i gorliwie przez szereg lat propagowała sprawę katolicyzmu i służyła duchowieństwu! Dzisiaj bojkotują ją, podkopują jej byt wszelkiemi sposobami.

Redakcya „Gazety“ jest położoną tuż naprzeciwko pięknego kościoła. Po nabożeństwie ten i ów polski katolik wstępował do redakcyi po książkę do nabożeństwa itp. Nie podobało się to księdzu proboszczowi, więc postarał się o to, że tuż obok powstał skład dewocyjny zniemczonego Warmiaka. Nadto w całej dyecezyi księża występują przeciw szczerze katolickiej „Gazecie“, wciągają Polaków do niemieckich stowarzyszeń itd. Sam przekonałem się, że Polaka lękają się jak ognia i uciekają przed nim jak przed zapowietrzonym. Za to przy każdej sposobności bratają się z władzami i konserwatystami.

„Gazeta Olszt.“ ilustruje te stosunki, podając uderzający fakt pod tyt. Strach przed polskiem nabożeństwem:

Na „naszej kochanej Warmii“ zaszedł w tych dniach drobny wypadek, który dosadnio charakteryzuje „życzliwość“ niemieckiego duchowieństwa dla Polaków. Gazety niemieckie w tych dniach rozgłosiły, że w Krosach pod Ornetą, gdzie się znajduje zakład pokutny dla księży, odprawił ks. proboszcz Staliński polskie nabożeństwo dla robotników polskich zatrudnionych przy budowie kolei z Ornety do Lidzperka. Takie nabożeństwo miało się odprawiać w Krosach w niedzielę rano o 8-mej. Tymczasem proboszcz zakładowy ksiądz Schlacht z Krosów ogłasza w „Ermländische Ztg.“ co następuje:

„Aby zapobiedz fałszywym wnioskom donoszę, że wprawdzie w zeszłą niedzielę znalazła się w tutejszym kościele pewna liczba polskich robotników, gdy im ks. proboszcz Staliński na torze oświadczył, że chce im odprawić osobne nabożeństwo. Ale było tylko (!) dokładnie licząc 16 mężczyzn i 3 kobiety, które po wielkiem nabożeństwie o 8-mej też krótkiego polskiego kazania i cichej mszy św. ks. proboszcza Stalińskiego wysłuchały. Zresztą nie jest mi wiadomem, (!) że w następne niedziele o 8-mej rano ma się tu odprawiać polskie nabożeństwo.“

Tak tedy nabożeństwo to odbyło się — tylko wypadkiem, zdaje się, z inicyatywy ks. Stalińskiego. Proboszcz zaś nie miał nic pilniejszego jak zaraz położyć koniec polskim nabożeństwom. Czy kler nie zastanawia się nad skutkami swego postępowania?!

Uderzającem jest też, że kandydat polski p. *Jaworski z Lipienek*, nie troszczy się wcale o Polaków warmijskich. Nie można się wobec tego dziwić, że przepadł przy wyborach.

Wprawdzie nie mieszka on na Warmii, ale przyjeżdża często pod Olsztyn do siostry swej. Zresztą bądź co bądź jest jego obowiązkiem tak jak każdego posła lub kandydata poselskiego przodować w pracy społecznej, więc o sposobność musi się postarać. A p. Jaworski ani się nie spyta o to, co się dzieje na Warmii. O jego polskości można mieć pewne wątpliwości, jeźli się zważy, że owdowiała siostra jego wychowuje dzieci *na Niemców*, a p. Jaworski nie postarał się wpłynąć na nią i pokierować inaczej wychowaniem jej dzieci.

Ospałość, obojętność, bezczynność to znamiona życia polskiego na Warmii.

Nauczona doświadczeniem „Gazeta Olsztyńska“ będzie musiała teraz chyba przemawiać innym tonem, wziąść się za bary z księżmi germanizatorami, jeźli chce istnieć i pełnić swą misyę.

Musi śmiało oprzeć się na ludzie i interesy jego gorliwie popierać. Lud zaś, obrażony w poczuciu polskości i germanizowany, powinien samodzielnie wystąpić, wstrzymać się od dowolnych składek na cele kościelne, a natomiast popierać towarzystwo olsztyńskie i tworzyć organizacye podobne. Czas, aby lud wyzwolił się z pętów niewolniczej zależności od kleru, jeżeli nie ma utracić narodowości. Wiadomo powszechnie dzisiaj, że największym wrogiem polskości jest obecnie — niemiecki katolik w sutanie czy bez sutany. Z tej strony zagraża nam największe niebezpieczeństwo. Odpowiednio do tego musimy postępować.

Lecz na to potrzeba *silnych duchów*, mężnych ludzi, jednem słowem — charakterów. Czy tacy ludzie nie znajdą się na Warmii?

Ordon.

Z tygodnia.

Serbia rehabilituje się w oczach świata ,w oczach cywilizacyi, której

---

ty, by się nie stała nasieniem — rozruchów, czegoś w rodzaju „rzezi hajdamackiej“ (sic!). Oczywiście proboszcz nie przypuszczał ani na moment, aby Koło polskie mogło wcielić pana Kulerskiego do swego ciała, co byłoby zbrodnią i aprobatą ludzi, którzy pracują nad zgubą narodu niby „Targowiczanie.“ Tak to pan Kulerski zakłócił mi nastrój nadmorskiego pejsażu...

Oxewie spoczywa na wyniosłem wzgórzu, dumnie wznosi się nad zieloną w ramy lasów ujętą płaszczyzną, na której zarysowuje się białym szlakiem ląd: półwysep Hel. Sędziwy, ładny kościół prezentuje się na górze efektownie, złocisty krzyż na czworokątnej wieżycy lśni w słońcu gwiazdzistemi blaskami. Z po za świątyni grupy drzew wyzierają częściowo, pozwalając się domyślać gospodarstw.

Łódź nasza płynie cichutko. Co chwila mijamy podwójne rzędy kółków z węciorkami na połów węgorzy, aż dobijamy do stóp góry oksewskiej, wrzynającej się w morze. By zabezpieczyć jej stoki od fal, robotnicy opasują je pierścieniem kamieni. Zastaję tu okręt z wyładunkiem głazów i grupę ludzi, ładny tworzących obrazek. Z wybrzeża wiedzie do wsi ścieżka w głębokim ukryta jarze — wsi, gdzie prócz handlarza bławatnego i dwóch karczmarzy nie spotka się Niemca. Polski napis na figurze Matki Boskiej w pośrodku steku gospodarstw, polskie napisy na nagrobkach cmentarnych i polska mowa rozbrzmiewa wokoło. Częś wsi zniszczył pożar, odbudowano ją dostatnio. Na wszystkiem oko spoczywa z przyjemnością i z wsi kaszubskiej miłe unosisz wrażenia.

* * *

W Copotach zastaję — wieczór i „badefest.“

Z balkonu wzrok ślizga się po szczytach domostw, po ciemnych grupach drzew, przez które prześwieca uśpione morze. Nad głową cudny baldachim — sklepienie wyiskrzone miryadami gwiazd. Z piasków nadbrzeżnych strzelają ku niemu błyskawice rakiet, deszczem złocistym opadając na ziemię, to znowu strzały z świstem przeszywają powietrze, by garść gwiazd różnobarwnych cisnąć pod niebiosa. Tony muzyki napływają z oddali....

Westchnienie podnosi pierś. Puszczając kłęb dymu i rozpamiętując wrażenia, myślisz jak cicho, dobrze i pięknie — na kaszubskim brzegu.

Roman Rola.



oblicze ze wstrętem odwróciło się od niej po nocy krwawej z dnia 11-go czerwca, kiedy to grono oficerów serbskich znęcało się w sposób iście zwierzęcy nad zwłokami pomordowanych w konaku królewskim ofiar.

Długo nurtowało w szeregach armii serbskiej dolegliwe poczucie hańby, jaka na nią spadła w płonie owej nocy ohydnej. Na powierzchnię nie przedostawały się dotąd ślady poczucia, które tem silniej krążyło w żyłach młodszego pokolenia oficerów. Od miesiąca dopiero w konaku białogrodzkim i w łonie nowego gabinetu p. Awakumowicza zaczęto łowić głuche wieści o wrzeniu, jakie objęło młódź oficerską i szerzy się we wszystkich załogach kraju: w Niszu, Białogrodzie, Kragujewcu, Negotinie...

Wreszcie w nocy z czwartku na piątek *uwięziono 47 oficerów w Niszu*, podpisanych na proklamacyi, domagającej się ukarania owych 68 mundurowych morderców, którzy w nocy z dnia 11-go czerwca zgładzili króla Aleksandra i królowę Dragę, znęcając się w sposób okrutny i wstrętny nad ich niememi zwłokami.

Były właściwie dwie odezwy. W jednej z nich domagają się oficerowie głosowania całego serbskiego ciała oficerskiego nad tem, czy, oficerowie, którzy dopuścili się królobójstwa, mogą pozostać w armii, lub mają być postawieni przed sądem.

Druga odezwa opowiada, że w nocy z dnia 11-go czerwca 68 oficerów przyodzianych we wszystkie zaszczytne godła stopnia oficerskiego, wtargnęło do pałacu królewskiego, tam z wyparciem się swojej przysięgi na sztandar, z nadużyciem zaufania i posłuszeństwa, w sposób skrytobójczy zamordowali swojego króla i królowę i znęcali się w sposób barbarzyński nad ich trupami. Gdyby oficerowie ci — powiada odezwa dalej — posiadali cień tylko poczucia wstydu, uważaliby za swój obowiązek złożyć swoje mundury przed wykonaniem zbrodni. Nie uczynili oni wszakże tego nawet po spełnieniu swojego czynu, natomiast złożyli odtąd liczne dowody na to, że dopuścili się zbrodni z pobudek egoizmu i próżności. Posunęli się aż do bezczelności paraliżowania aktów rządu i upośledzania wszystkich uczciwych oficerów, odsuwając ich od awansu i komendy. W tych warunkach oficerowie serbscy winni to sobie, swojemu królowi, swojej ojczyźnie i całemu cywilizowanemu światu, aby domagać się usunięcia z armii serbskiej owych niegodnych skrytobójców. Albo oni złożą mundury albo my, wszyscy!

Zaiste, nie do pozazdroszczenia jest dola króla Piotra. Stanowisko jego tem jest trudniejsze, że owi mordercy otoczyli od pierwszej chwili tron jego i zajęli przy nim posterunki najwyższego zaufania.

Tu tkwi jądro sytuacyi bardzo drażliwej i niebezpiecznej, żarzewie głęboko sięgającej rozterki, która może skończyć się nową katastrofą.

Tymczasem *Turcya* wydała okólnik w którym stara się uspokoić wzburzoną ludność wiejską w Macedonii. Przestrzega przed agitatorami bułgarskimi, którzy usiłują skłonić lud spokojny namową i groźbą do udziału w powstaniu, protestuje przeciw aktom gwałtu i barbarzyństw, przeciw wykonywaniu zamachów dynamitowych i rzezi, i oświadcza, że rząd sułtański osłoni lud przed nadużyciami komitetów rewolucyjnych.

Równocześnie wojsko tureckie rozpoczęło akcyę przeciwko powstańcom i stara się obsadzić wszystkie oddziały powstańcze i zmusić je do poddania. Pojmani przywódcy będą stawieni przed sąd. Tymi środkami jednak *burza nie* da się już zażegnać. Rząd bułgarski bowiem sposobi się także do akcyi i zamówił w Austryi *15 milionów* naboi. Powstańcy macedońscy zaś — jak zapewniał pewien przywódzca posiadają jeszcze dobrze ukryte a ogromne zapasy dynamitu, a nadto 20 butelek z bakteryami dżumy. Jeśli nie nastąpi rychło interwencya mocarstw lub chociażby tylko wojna między Bułgaryą a Turcyą, powstańcy zburzą dynamitem wszystkie miasta, spalą wioski, a wszelkie wody zatrują zarazkami dżumy.

Zapowiedź użycia tego ostatniego środka nie jest pogróżką na postrach, jak ogólnie mniemają w Europie, lecz na pewno spełniona zostanie w danej, a może już niedalekiej chwili. Jeśli zaś Bułgarya nie wypowie wojny Turcyi anarchia ogarnie także jej terytoryum.

Przesilenie w Węgrzech trwa dalej mimo usiłowań cesarza Franciszka Józefa. W położeniu rzeczy nie zaszła żadna zmiana, chociaż cesarz konferował z Schell'em. Czy Szell miał za zadanie tylko poinformować cesarza, czy też powołano go do monarchy, aby mu ewentualnie powierzył misyę utworzenia gabinetu, to na razie rzecz niepewna, faktem zaś jest, że do tej chwili Szell misyi takiej jeszcze nie otrzymał, ani też nie konferował z innymi politykami. Przyjąć należy, że nowe ministeryum nie pierwej zostanie powołane,

Ze sztuki.

Orkiestra „Filharmonii warszawskiej" na międzynarodowym kongresie muzycznym w Berlinie koncertować nie będzie. Oto co piszą w tej sprawie kompetentne pisma warszawskie:

„Zarząd Filharmonii, rozstrząsając wszechstronnie tę sprawę, miał na uwadze okoliczności następujące:

1) Koncerty w Berlinie nosić mają charakter przeważnie międzynarodowy, w układzie programu pierwszego koncertu Filharmonia nie była niczem krępowana, a drugi miał być dyrygowany przez dziewięciu kapelmistrzów różnej narodowości.

2) Powołanie młodej orkiestry polskiej na wielki turniej międzynarodowy do Berlina, oprócz chlubnego odznaczenia artystycznego, zapewniało orkiestrze szereg widoków otrzymania dalszych zaproszeń w główniejszych ogniskach Europy, tem konieczniejszych, że dla równowagi znacznego budżetu orkiestry wyjazdy jej w okresie przedsezonowym rok rocznie są konieczne.

3) Szkopuł co do gruntu koncertów międzynarodowych był złagodzony zarówno ich charakterem, jak i precedensami ostatniej doby (ogłoszenie przez warszawskie Towarzystwo muzyczne nazwisk wyznaczonych przez siebie na kongres delegatów i świeże urządzenie przez p. M. Karłowicza koncertu kompozytorskiego w Berlinie z udziałem solistów polskich).

4) Liczna ludność polska Berlina stanowiła pożądaną, co do składu audytoryum, zachętę.

Zarząd Filharmonii zauważył jednak, że obok głosów, usiłujących zawsze i wszędzie szkodzić Filharmonii, z któremi liczyć się nie podobna, pewna poważna część opinii publicznej była również zdania, że udział orkiestr polskiej w koncertach berlińskich w obecnej dobie byłby z szerszych względów niepożądany.

To przeświadczenie kół nieuprzedzonych a poważnych skłoniło zarząd Filharmonii do zrzeczenia się podróży artystycznej do Berlina i do zwrócenia komitetowi wagnerowskiemu podpisanego już przez ten ostatni kontraktu."

* * *

Świeżo wystawiono w Warszawie w teatrze letnim nową sztukę utalentowanego komedyo-pisarza, *Zygmunta Przybylskiego*, mianowicie komedyę w 3-ch aktach p. t. *„Dług honorowy."*

„Dług honorowy" przyjęła publiczność warszawska z entuzyazmem, a po 2-gim i 3-cim akcie wywołała autora, żywo go oklaskując.

* *

zanim nie będzie pewności, że przeprowadzenie nowego planu, który ma już być wypracowany, nie napotka na trudności. Pojutrze popołudniu cesarz wraca do Wiednia. O nowych audyencyach na razie nic jeszcze nie słychać.

Z Ameryki donoszą, że w Syrakusach w stanie nowojorskim policya aresztowała pochodzącego z Niemiec Johna Millera w jego mieszkaniu, którego pewna kobieta oskarżyła, że powiedział, iż *zastrzeli prezydenta Roosevelta* w czasie pochodu robotników, na jego cześć mającego się urządzić. Aresztowanie nastąpiło godzinę przedtem, nim prezydent Roosevelt przybył na miejsce, gdzie miał być urządzony wspomniany pochód.

W Niemczech dominującą sprawą są przyszłe wybory do sejmu. Minister spraw wewnętrznych rozporządził aby odnośne władze niezwłocznie poczyniły wszelkie przygotowania do wyborów do sejmu, jako to: rozgraniczenie okręgów prawyborczych i wygotowanie list wyborców. *Prawybory mają się odbyć w drugim tygodniu listopada.*

B. M.

Przegląd prasy.

Projekt utworzenia ogólnego komitetu wyborczego na rzeszę niemiecką — o którym piszemy na innem miejscu — będzie przedmiotem obrad zebrania delegatów i komitetu na W Ks. Poznańskie, zapowiedzianego na dzień 10 b. m. Czy przejdzie on w formie proponowanej jest kwestyą wątpliwą. Prasa bowiem wszystkich odcieni przemawia przeciwko tym lub owym punktom jego a zapewne te same zapatrywania ujawnią się w łonie zebrania. Wszelako zdaje się, że myśl utworzenia centralnego komitetu dojrzała; w zasadzie bowiem okazuje się sympatyczną wszystkim prawie organom.

Jedynie *„Dzien. Pozn.“* oświadcza się stanowczo przeciw projektowi, bo jego zdaniem w komitecie takim „powinny mieć głos tylko osobniki geograficzne (?) wybierające rzeczywiście posłów a nie okręgi, skazane wyłącznie na jałowe(!) kandydatury liczbowe.“

Inne, o wiele lepsze racye wytacza przeciw projektowi *„Gaz. Tor.“* tak pisząc:

„Na projekt powyższy nie mogą się zgodzić ani Prusy Zachodnie, ani Ślązk, ani Polacy na obczyźnie, a spodziewawamy się, że i delegaci z W. Ks. Poznańskiego nie zechcą go zatwierdzić. Projekt ten *pozbawia bowiem całe dzielnice najważniejszego prawa, t. j. prawa decydowania, gdzie chcą stawiać kandydatów narodowych* i prawa dyktowania warunków stronnictwom, z któremi zawierają kompromisy. W zamian za to, jako jedyną korzyść, ofiaruje się wyzutym z praw poszczególnym dzielnicom tylko „załatwienie w najwyższej instancyi“ możliwych sporów między władzami wyborczemi a wyborcami. Każdy przyzna, że to bardzo mało, mianowicie wobec niepewności, czy wyborcy, poróżnieni z władzą wyborczą, którą sami wybrali zechcą się poddać wyrokowi instancyi dalszej.

„Według naszego zdania, ogólna na całą rzeszę niemiecką organizacya wyborcza tylko wtenczas będzie miała racyę bytu i znajdzie powszechne uznanie, jeżeli:

„1) *przyjmie się zasadę, że Polacy w całej rzeszy niemieckiej w pierwszem głosowaniu tylko na Polaka głosować powinni;*

„2) jeżeli o zawieraniu kompromisów w drugiem głosowaniu rozstrzygać będą sami wyborcy, odnośnie władze wyborcze odnośnej prowincyi lub dzielnicy, co nie wyklucza, aby władza najwyższa mogła przeszkodzić zawarciu kompromisu niewłaściwego lub niezgodnego z interesem ogółu;

3) jeżeli władza najwyższa będzie powołana do czynnej akcyi wyborczej przez popieranie kandydatów narodowych tam, gdzie organizacyi polskiej nie ma lub gdzie jest zbyt słaba;

4) jeżeli powstanie — przez skromne opodatkowanie ogółu wyborców — centralna kasa wyborcza, celem opłacenia kosztów agitacyi wyborczej tam, gdzie lud jest mało rozbudzony i gdzie brak ludzi i środków na agitacyę.

„Zdaje nam się, że tylko w razie uwzględnienia tego, co powyżej powiedzieliśmy, zgodzić się mogą na ogólną organizacyę kresy i Polacy na obczyźnie.“

„Kur. Pozn.“ podsuwa myśl, oddawna istniejącą, której przyklasnąć możemy.

„Naszem zdaniem winno było wejść w zakres czynności P. K. W. także i to nie na ostatniem miejscu utworzenie *biura informacyjnego*, którego zadaniem by było zbierać wszelkiego rodzaju materyały do obrony naszych interesów i rozkładać te materyały na poszczególne działy celem poczynienia dalszych kroków — mianowicie za pomocą posłów naszych w ciałach ustawodawczych i załatwiania spraw ku jak największemu pożytkowi interesowanych.

„Takie biuro miałoby niesłychaną doniosłość — a z wszelką pewnością jak wiemy, oddałyby pewne osoby, pojmujące znaczenie tegoż biura, potrzebne fundusze do założenia go i prowadzenia do dyspozycyi.“

Zresztą „Kur.“ zajmuje wobec

W teatrzyku warszawskim „Renaissance“ ukazała się po raz pierwszy *sztuka oryginalna Józefa Rydeckiego p. t. „Dryndziarz.“* Utwór ten posiada tło lokalne, akcya rozgrywa się w Warszawie i podmiejskich okolicach. Wśród postaci, wprowadzonych do sztuki, znajduje się szereg sylwetek, znanych na bruku warszawskim.

* * *

Dzieła H. Sienkiewicza spopularyzowały już *w Rumunii* odcinki dzienników, co prawda w tłómaczeniach dość lichych, podług przekładów francuzkich. *„Quo vadis?“* drukowano dwa razy w dziennikach *Secolul XX* i *Aparerea Nationala;* to ostatnie tłómaczenie, cokolwiek poprawniejsze, wyszło też w oddzielnem wydaniu dwutomowem z oryginalną okładką kolorową. Dziennik *Epoca* podał tłómaczenie „Ogniem i mieczem“ i „Krzyżaków.“ Wspomniany *Secolul* dał nadto „Rodzinę Połanieckich,“ a *Aparerea Nationala* „Pójdźmy za Nim!“ Drugi raz przetłómaczyła go właśnie dość starannie *Cronica.* Dziennik *Vremea* ukończył w tych dniach przekład „Bartka zwycięzcy,“ który zresztą przed kilku laty był tłómaczony w jednem z pism prowincyjonalnych (w Turn-Severynie); obecnie *Vremea* zapowiada nowe tłómaczenie „Krzyżaków.“ Dawniej były nadto drukowane w *Adeveralu* „Szkice węglem.“ „Janka muzykanta,“ ile wiemy, już trzy razy przełożono.

* * *

Świeżo opuściło prasę dziełko *Stanisława Belsy* p. t. *„Wśród ruin Grecyi“* (Kraków. — G. Gebethner i Sp. 1903 r.)

Starannie bardzo opracowany tekst objaśniają dość licznie rozrzucone piękne ryciny.

Nakładem dzieci ś. p. Maryi Krzymuskiej, jako wyraz uczucia miłości i czci dla zmarłej, ukazał się wykwintnie wydany tom jej *„Studyów literackich.“*

Z książki tej, zawierającej subtelne analizy literackie Przybyszewskiego, Wyspiańskiego, Reymonta, Hauptmanna i Rodina, wyziera niezwykle piękna dusza autorki. A była to dusza grecka, stworzona do jasności, do harmonii: kochała muzykę, słońce, wiosnę, piękne stroje, piękne kształty, wszystko, co bije szczęściem dla radości oczu. Taką też jest w tych studyach, będących odbiciem jej wewnętrznego życia, życia, osnutego koło idei, ludzi i książek, ale tylko książek, ludzi i idei kochanych. O innych pisać nie mogła. Ztąd na tło tych *„Studyów“* rzuciła własną duszę zwierciadlaną i w niej ukazała szereg postaci, jak się tam odbiły w pięknie, w pełnem świetle, w tej atmo-

[pr]ojektu konserwatywne, wsteczne [s]tanowisko, jednakże pisze:

„Sprawa utworzenia Komitetu Centralnego jest nam *zasadniczo sympatyczną*, podnosimy to już dzisiaj, organizacyi tej domaga się społeczeństwo coraz stanowczej. Ale rozwiązanie tej kwestyi trudne, bo chodzi o stworzenie władzy powołanej do kierownictwa życia politycznego ludności polskiej, oraz ukształtowania stosunku emigracyi, do dzielnic historycznie i etnograficznie polskich.“

W *„Wiarusie“* bochumskim czytamy:

„Nasamprzód zapomniano w nim o Komitecie Wyborczym na Mazowszu, a przecież i oni, jako Polacy, mieć winni przedstawiciela swego w Komitecie Wyborczym na rzeszę niemiecką. Tak samo § 13 powinien uledz zmianie, bo jest bardzo niejasny. Pytamy: W Poznańskiem naprzykład tworzy się drugi, trzeci i czwarty Komitet Wyborczy, który twierdzi, że taki on dobry. Jak Komitet prowincyonalny, więc i on winien mieć swego przedstawiciela w Komitecie na rzeszę, czy przystać by można na to? Według § 13 — powyższego projektu ustaw — tak. Należy zatem jaśniej to określić.

„Wprost jednak niebezpieczny dla ruchu narodowego jest ustęp 1 paragrafu 10, który przyznaje Komitetowi Wyborczemu na rzeszę prawo rozstrzygania, w których okręgach mają być postawieni Polacy, jako kandydaci na posłów.“

„Dzien. Berl.“ pragnie również zmiany parag. 10. i pisze:

„Sądzimy, że ostatnie wybory parlamentarne na obczyźnie dostatecznie wykazały, iż rezultat głosowania na narodowych kandydatów wart był podjętego trudu i że przy energicznej działalności powołanych czynników wyda z czasem, gdy pierwsze lody zostały nareszcie na całej linii przełamane, jeszcze dodatniejsze rezultaty.

„Nie rozumie najprostszych prawideł elementarza narodowego, kto w takiem stanowisku Polaków na obczyźnie upatruje za wzorem prasy hakatystycznej jakiś niebezpieczny „radykalizm“ i kto z urojonej obawy przed nieistniejącym w rzeczywistości „radykalizmem“, pragnie „oderwanych od pnia ojczystego“ Polaków skazać na rolę niewolnika: „słuchać a nie rozporządzać.“

„O jakichś „rządach emigracyi“ nie ma tu mowy. Takich pretensyi dzisiejsza emigracya, mianowicie ta, która żyje w Niemczech, wcale nie ma. Ona w projektowanej centralnej organizacyi pragnie mieć tylko przynależny jej głos, poza tem nic więcej.“

Tempora mutantur — można powiedzieć wobec tego, że nawet „Kur. Pozn.“ ów najwierniejszy najpotulniejszy sprzymierzeniec partyi centrum coraz częściej gromkie prawi kazania niemieckim katolikom i ich prasie.

„Wprost nieszlachetną bronią walczy „Germania“ przeciw rozwojowi narodowego uświadomienia ludu polskiego na Górnym Ślązku — i jak najgorszą tem wyświadcza przysługę katolickiemu społeczeństwu niemieckiemu a w szczególności duchowieństwu i centrum.

„Stanowisko, z którego wychodzi, jest zatajanie rzeczywistego położenia na Górnym Ślązku, a przedewszystkiem, fałszywe przedstawianie charakteru ruchu polskiego. I tak zataiła „Germania“ fakt, iż X. Kardynał Kopp na mocy fałszywych referatów o narodowej tak zw. radykalnej prasie górnośląskiej wydał swój znany, potępiający tę prasę okólnik — zataiła niepodzielną opinię całej Polski co do tegoż okólnika i przeczyła istnieniu ogólnego oburzenia — a „Köln. V.“, która rzeczywisty stan rzeczy przedstawiła, najostrzejsze z tego powodu czyniła wyrzuty.

„Wreszcie oświadczyła, że dotknięte gazety w poczuciu widocznie swej winy milczą wobec okólnika i się nie usprawiedliwiają — a zarzut ten był fałszem.“

W końcu „Kur.“ pisze:

„„Germania“ robi to wrażenie, jakby się liczyła z innemi względami, *nie będącemi czysto i wyłącznie kościelnej natury* — więc raz jeszcze upominamy ją, iż źle się bawi — i że w ten sposób może wyświadczyć katolickiej sprawie niedźwiedzią przysługę.“

Słabe tylko nadzieje ma „Kur.“ aby udało się zachować dawny stosunek do centrum.

„Od zaspokojenia potrzeb duchownych Polaków ze strony niemieckiego duchowieństwa zależny jest w przeważnej mierze nasz stosunek do centrum. Im mniej uwzględnienia polskich parafian ze strony niemieckich duszpasterzy, tem mniej przychylności dla centrum, tak na Zachodzie, jak u nas w Wielkopolsce, w Prusach Zachodnich i na Ślązku.

„I nie byłoby wtedy mowy o uspakajaniu jakiemkolwiek niezadowolonych i nieprzychylnych i wpływaniu na nich ze strony tych w społeczeństwie naszem, którzy oglądając się na dawnych sprzymierzeńców podczas walki kulturnej i na wspólne nam wyznanie katolickie, pragną z centrum zgody.

Sprawy, będące w styczności z wyborami do sejmu, zajmują coraz więcej miejsca w gazetach. Jednakże nie wiele odbyło się jeszcze zebrań.

W Ostrowie komitet Tow. wyborczego odbył niedawno posiedzenie, o którego przebiegu czytamy w *„Gaz. Ostr.“* między innemi:

„Jakkolwiek Towarzystwo nie ma prawa do stawiania kandydatów, ma jednak prawo do proponowania ich komitetowi powiatowemu. Pan Hulewicz zaznacza, że grono obywateli zamyśla postawić kandydaturę pana Cegielskiego. Kandydatura ta nie uzyskała jednak w zebranym komitecie ani jednego głosu, owszem pan Pepiński zaznaczył, iż nie wypada nam takich na posłów wybierać, którym inne powiaty za ich pracę zmuszone były podziękować. Następnie podał ks. dziekan Śmigielski jako kandydata ks. proboszcza z Przementu radzcę Mojzykiewicza, który ubiegał się o mandat do parlamentu w okręgu wschowsko-leszczyńskim. Pan Pepiński zaś, głosząc zasadę, że powiaty powinny wybierać ludzi ze swoich okręgów, proponuje pana Hulewicza, właściciela handlu żelaza w Ostrowie. Pan Hulewicz jednak stanowczo oświadczył, iż pod żadnym warunkiem kandydatury by nie przyjął. Pan Marcinkowski proponuje następującą listę kandydatów:

1. p. poseł Mizerski.
2. p. Bernard Chrzanowski, poseł do parlamentu.
3. ks. radzca Mojzykiewicz.

Redakcya.

---

[s]ferze zrozumienia i sympatyi, jakiej artysta potrzebuje, aby dać z siebie wszystko, co dać może: dotknięcie delikatne kobiecej ręki, czułość macierzyńską i młody przecudny entuzyazm. Jest też w tych studyach coś z nieprzebranej słodyczy jej głębokiego spojrzenia, coś z drżenia wzruszonych warg, coś z pańskości całej postaci i wreszcie coś z tej godności, która przedewszystkiem szuka i znajduje piękno i dobro: jej żywe tchnienie przejmuje wszystko, ogarnia miłością i przetapia na jedną całość duchową.

Studya te poprzedza pięknie napisana przedmowa, zawierająca krótki życiorys i wizerunek psychologiczny ś. p. Maryi Krzymuskiej. Wizerunek to tak artystyczny, nakreślony rysami tak delikatnemi, że w zupełności zasługuje na nazwę literackiego pastelu.

* * *

Na wystawie prowincyonalnej w Horzicach jeden z głównych oddziałów poświęcono największemu *kompozytorowi czeskiemu, Smetanie.* W sali Smetany zgromadzono kompozycye muzyka, ogłoszone drukiem, rękopisy jego, dzieła o nim oraz wszelkie fotografie i obrazy, tak jego osoby i rodziny, jako też jego ojczyzny i bohaterów jego oper. Między innemi znajduje się statystyka przedstawień oper Smetany. „Prodana nevesta“ grana była wogóle 2174 razy, z czego w samych Czechach 1214 razy. Potem idzie „Hubiczka“ (Pocałunek), grany już tylko 600, i „Dalibor,“ przedstawiony 425 razy. W dzień otwarcia wystawy odsłoniono w Hirzicach pomnik twórcy „Sprzedanej narzeczonej.“

—ski.





Najświętsza Marya Panna prządką.

Reprodukcya obrazu Feliksa Cichockiego.

ALBUM „PRACY“. DRUKIEM „PRACY“.





Dział illustrowany.

Z ojczystych stron.

Gdańsk.

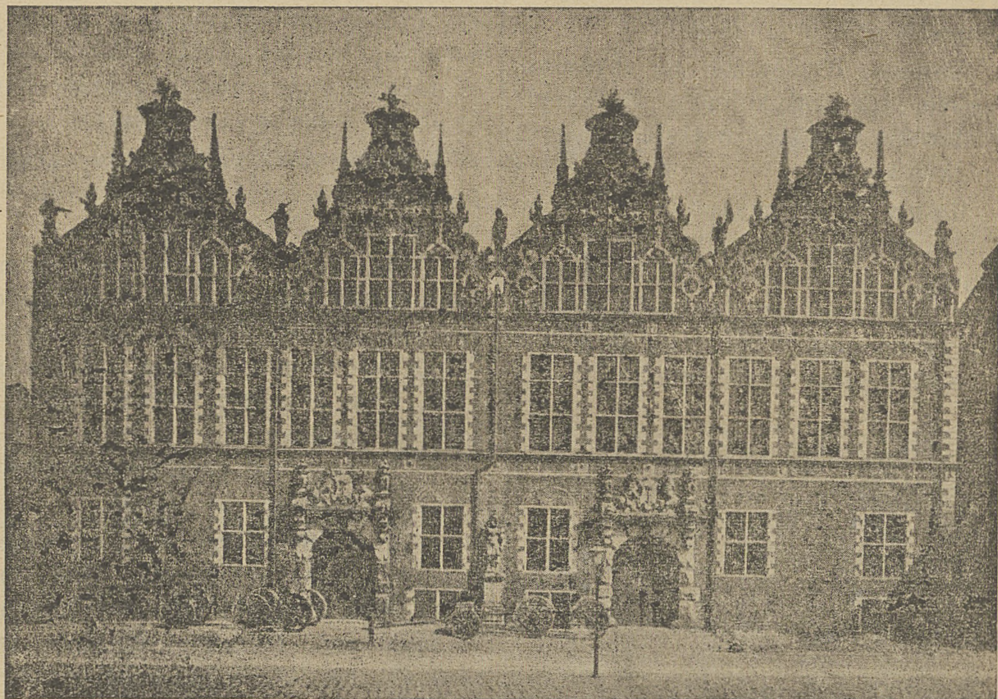
Gdańsk, miasto główne pruskiej prowincyi Prus Zachodnich, po łacinie *Gedanum, Dantiscum,* po niemiecku *Danzig,* wspomniane jest już w VI. wieku po Chr., a w X. w. miało już wielkie znaczenie; w r. 1245 należało do miast hanzeatyckich; w r. 1310 przeszło do posiadłości krzyżackich, w r. 1454 przyłączone zostało do Polski. Od tego czasu rządziło się własnemi prawami, miało bowiem własny rząd (senat), złożony z 4 burmistrzów i 4 rajców, z których jeden bywał przez króla mianowany burgrabią, czyli namiestnikiem królewskim. Tak stanowiąc prawie oddzielną rzeczpospolitą kupiecką nie podlegając Polsce, tylko królowi, mając prawo bicia monety i sławną mennicę, przyszło miasto do wielkiego znaczenia i potęgi i kilka razy odgrywało ważną rolę w dziejach Polski.

Widzimy je nawet prowadzące wojnę z rzeczpospolitą za Stefana Batorego w r. 1577, widzimy je oddające ważne usługi Zygmuntowi III., Władysławowi IV., Janowi Kazimierzowi. Wypada tu nadmienić, iż za Jana Kazimierza, gdy Szwedzi byli panami całego kraju, Gdańsk im się nie poddał. W Gdańsku opierał się Leszczyński w 1734 r. oblegającym wojskom, i miasto wtedy długo się broniło i zmuszone do poddania poniosło ciężkie straty. Po podziale Polski w 1772 r. zostało wolnem miastem Rzeszy niemieckiej pod opieką Polski, ale 28. maja 1793 r. Prusacy je stanowczo zajęli.

Generał v. Raumer w marcu t. r., stanąwszy z wojskiem pod miastem, zażądał poddania się. Rada skłaniała się ku temu z konieczności, ale ogół mieszkańców gwałtem domagał się walki z Prusakami. Dnia 28. marca cichaczem oddano forty zewnętrzne. Prusacy jednak nie spieszyli się z wejściem. Niepodobna opisać rozpaczy Gdańszczan na widok obcego wojska: „żołnierstwo miejskie klęło z rozpaczy, broń łamało, głośno nazywało oficerów zdrajcami, strzelało do Prusaków; nawet arsenał odbito, żeby mieć broń.“ Zaledwie 4-go kwietnia zdołano lud uspokoić; 7-go maja Gdańsk złożył przysięgę na wierność nowemu monarsze. W r. 1806 stanęli pod Gdańskiem Francuzi z marszałkiem Lefebvre; oblężenie zaczęło się w marcu 1807 r.; od 23-go kwietnia do 24-go maja, t. j. do chwili poddania się Gdańszczan, Francuzi z 30 armat rzucili przeszło 20,000 bomb (więc po 666 dziennie mniej więcej), przyczem 600 z górą domów i mnóstwo innych zabudowań poszło w perzynę. Dnia 27-go maja Francuzi zajęli zdobycz, Gdańsk znów został miastem wolnem pod opieką Francyi. Dnia 9-go czerwca przybył tu Napoleon, zamieszkał w domu kupca Almonde na Langgarten, a zwiedziwszy Nowy port Wisłoujście i odbywszy rewię, naznaczył gubernatorem miasta hr. Rappa i odjechał. W maju i czerwcu 1812 r. przechodziło przez Gdańsk 80,000 wielkiej armii. Począwszy od stycznia 1813 r. przechodziły niedobitki tejże armii, w liczbie około 36,000; wielu z nich zmarło. Od marca t. r. Prusacy zaczęli oblegać miasto; zapanował wtedy głód straszny. Już w maju płacono za korzec żyta 20-cia talarów, za funt mięsa $1^1/_2$ tal.; w końcu zupełnie żywności zabrakło — ludzie po ulicach z głodu padali. Wreszcie 29-go listopada podpisano kapitulacyę a 3-go stycznia 1815 Gdańsk znów zajęli Prusacy.

A oto lista gdańskich gmachów i zabytków godnych szczególnej uwagi:

Kościół św. Mikołaja, osobliwie chętnie przez rybaków i marynarzy odwiedzany, istnieje od zaprowadzenia wiary chrześciańskiej. Istniał też przy nim jeden z największych i najbogatszych klasztorów dominikańskich w Polsce. Zwłoki pierwszego przeora Bł. Benedykta, złożone w murze, przy ołtarzu, za szkłem, lutrzy do Motławy wrzucili. Kościół N. M. Panny, najpiękniejszy w mieście, a jeden z największych w Europie, zbudowany we formie krzyża w 1343, posiada styl gotycki, 3 równe nawy na 26 filarach wsparte, 36 okien malowanych wielkości olbrzymiej; prześliczny ołtarz wielki dłuta Schwarza z r. 1515, niemniej mistrzowskie *tabernaculum* gotyckie, starożytne 3 stalle rzeźbione, zegar astronomiczny, zbudowany w r. 1470 przez mistrza Hansa Daringera w Norymberdze, starożytne katolickie paramenta i dzwon ważący 130 cent., są chlubą tej świątyni. Dokoła gmachu



Arsenał w Gdańsku.

idzie wieńcem 46 kaplic — dawniej było ich więcej — z tych do ważniejszych należy: św. Doroty, gdzie mieści się najszacowniejszy skarb Gdańska, — obraz sądu ostatecznego, znakomitego, ale niewiadomego pędzla: ubiegali się o niego monarchowie; cesarz Rudolf dawał za niego 40,000 zł., a Ludwik XIV. całą beczkę złota. Kaplica św. Jakóba, z grobem dziecka, co zabiło matkę i którego ręka potem z grobu wyrosła. Teraz jeszcze pokazują otwór w posadzce, zkąd ręka matkobójcy się ukazała. Na drzwiach widzimy wymalowanego chłopca z nożem w ręku. Kaplica św. Barbary, gdzie przechowywane tyle na Pomorzu sławną i tak czczoną głowę św. Barbary, dar Kazimierza Jagiellończyka; z ozdobami i kosztownościami ważyła ta relikwia blizko centnar.

Kościół św. Brygidy, pochodzący z XIVw., z cennemi obrazami pędzla mistrzów gdańskich. Istniał przy nim dawniej klasztor P. P. Brygidek.

Kościół św. Józefa, fundowany przez mistrza krzyżackiego Winryka v. Kniprode w XIV stuleciu.

Kaplica Królewska na Prawem mieście, tuż obok kościoła P. Maryi, zbudowana w r. 1683 w stylu włoskim, z piękną kopułą.

Ratusz na Langgasse, budowany w r.1311, w stylu gotyckim; wieża późniejszego pochodzenia. Mówi o nim poeta: „Te odrzwia, herby, to podniebie, gmach cały mówi sam za siebie. U szczytu jasny punkt migota; to Zygmunt — *Święty* — mówią prości. Gruba pokrywa go pozłota, lecz Niemcy z wielkiej uprzejmości wynieśli króla tak wysoko, że doń nie sięga ludzkie oko.“ Gmach ten wiele posiada pamiątek, między innemi zegar słynny, co godzina wygrywający kuranty. Kurant!... Od wieków, co godzina z pod chmur Gdańskowi żyjącemu Gdańsk się zmarły przypomina. A gdy go wszyscy wielbią, czemu pieśni, płynącej z wiatru jękiem, Prusaka ze skrytym słucha lękiem? Dzen-dzyn-dzen! — Dziwne dzwonki dźwięczą! Dzyndzen!... smutnych scen myśmy świadki. Dzen-dzyn!... kowawyczyn — braci męczy! Dzen!... to dzwon! wzywa dzieci do matki. Dzen-dzyn-dzon-dzen! Biada! Biada! I starzec w drzemkę zapada.

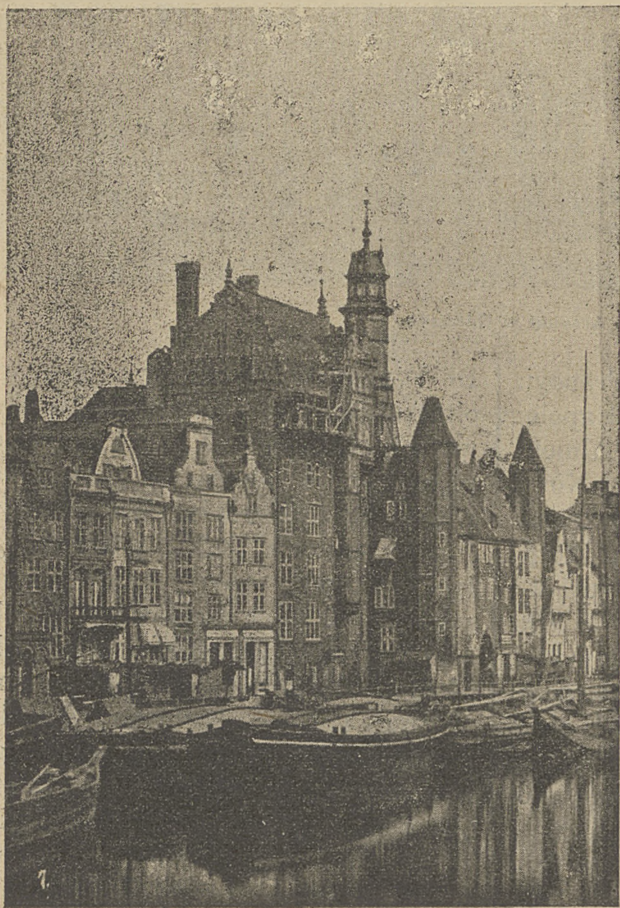
Artushof (giełda) zbudowana po r. 1500, z posągiem Augusta III., który: „W górę głowę dźwignął i twarzą tłustą świeci. Tak wcielon w kształty marmurowe król-śpioch, król-sadło.“ W gmachu giełdy uwagi są godne cenne obrazy i wielka sala koncertowa.

Arsenał stary na Prawem mieście posiadał znakomite zabytki przeszłości, które jednak Francuzi usunęli.

Pałac zwany gubernatorskim na Langgarten należał niegdyś do jakiegoś magnata polskiego, który tylko jedną noc w nim przespał. Mieszkał w nim czas pewien Stanisław Leszczyński i Napoleon. Nazwę wziął od gubernatora francuzkiego, hr. Rappa.

Śpichlerze widzi się wyjeżdżając z dworca. Olbrzymie te budynki stoją w skupieniu nad Motławą. Obecnie jest ich 175, o 100 mniej niż dawniej. Wartość nagromadzonego w nich zboża wynosi zwykle kilka milionów talarów.

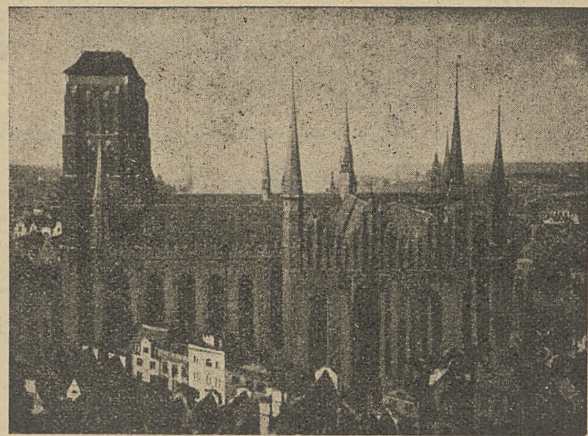
Dawne gdańskie stosunki handlowe barwnie maluje Klonowicz w swojem arcydziele p. t. „Flis.“ Poucza on rubasznie Włoszkę: „Tu już przyjedziesz do misternej windy, tu ujrzysz dziwnych rzeczy na przebindy,[1]) jakom powiedział, i już tu masz szpiklerze, masz machlerze.[2]) Masz zielony most, cel naszej roboty tu rozwody



Wielki kanał w Gdańsku.

[1]) „Na przebindy“ = do wyboru.

[2]) „Machlerz“ = mekler, faktor.



Kościół N. M. P. w Gdańsku.

wschody, dziwne kołowroty; masz wagę, trety,[3]) ławy ,dziwne sprawy, różne zabawy. Tu masz okręty z płóciennemi skrzydły, tu masz z za morza trefne skrzydływidły, maszty wyniosłe z bocianemi gniazdy, pod same gwiazdy. Tu w stradyjetkach[4]) masz śmiałe bosmany,[5]) masz z dalekich stron kupce i ziemiany — przedawaj, kupuj, handluj, bij dłonią w dłoń, zysk sobie goń.“

Poeta wykłada również, jak ów zysk *ugonić:* „Chwal przedawając, gań kupując; kupca nie chciej mądrego, szukaj sobie głupca, coby kostrzewy[6]) nie znał, i dla rymy nie czuł stęchliny. Mali gotowe? — naprzód, o to pytaj, dopieroż się z nim przez tłomacza witaj, abo więc, jeśli umiesz, sam z nim szprachaj,[7]) mędrka się strachaj.“

I uzasadnia zaraz poeta swoje racye. „Bo tu masz, szyprze,[8]) rozmaite głowy: jedni pieniędzmi kupczą, drudzy słowy, i już ów kupiec niebardzo warowny,[9]) co nazbyt mowny. Masz pewne ludzie z gotowym odbytem, masz drugie, co cię czubią swym kredytem — ty się dzierż tych słów, co je w mieszek kładą, nie gardź mą radą.“

A oto, co czeka nieopatrznego: „Jeśli za żyto odniesiesz nadzieje wiatrem nadziane, wiatr ci je rozwieje; ucho i wiarę jałową zbogacisz, na kupi stracisz. Jeśli też w torbę szuldbryfów[10]) pisanych, kapiącym woskiem, popieczętowanych, nakładziesz — rada nabawi kłopota goła gramota.“[11])

Skrypt zatem, rewers, nie daje pewności, a przytem ile frasunku z niemieckiemi sądami: „Będziesz rachował, kiedy więc od daty, jedna za dru-

[3]) „Trety“ = chodniki.

[4]) „Stradyjetka“ = kurtka.

[5]) „Bosman“ = żeglarz.

[6]) „Kostrzewa“, = trawa, zwana także stokłosem, zanieczyszcza zboże.

[7]) „Szprachaj“ = mów po niemiecku.

[8]) „Szyper“ = flisak.

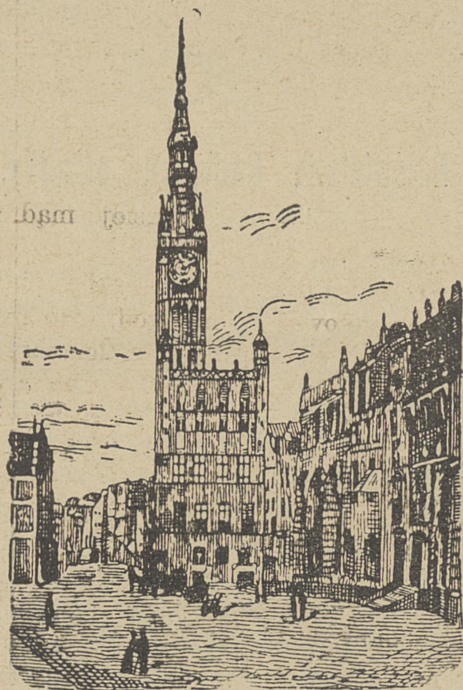
[9]) „Warowny“ = pewny, bezpieczny.

[10]) „Szuldbryf“ = rewers.

[11]) „Gramota“ = pisanina.

gą przypadają raty, święta na palcach będziesz często liczył, prawa się ćwiczył. Jawne pisarze i prokuratory będziesz bogacił, dając im pobory; będziesz się kłaniał przed Niemcem odętym, jako przed świętym. Trzebać tłomacza, trzebać i ceklarza, [12]) i w zatrudnionej sprawie forytarza, [13]) albo więc musisz mówić z tą drużyną dziwną łaciną.''

Łacina zakaty dziwna, niemiła i wykrętna: „Gdy sługi spytasz, jeślić pozwał stronę, usłyszysz tam wnet starą piosnkę onę: — *Ja, gnädiger Herr, er ist wohl geladen, nicht angesprochen!* — Więc zatem najdą pozew być jałowy, a ty, nieboże, znowu proś o nowy! Słuchajże pieśni, niż zegar uderzy, choć cię już mierzi. U dworu też zaś wytrwasz miesiąc ruski, niźli przybiją na drzwi regestr pruski. Rzeczesz: Prawie mi na żywe zabito, za moje żyto.''



Ratusz i Artushof w Gdańsku.

Nic więc nie pozostaje, jedno być ostrożnym, „gdy zaś zapłacone bargieltem [14]) kupie w szpiklerze czerwone zsypiesz, bądź też do Popielnego dworu, a gielt [15]) do woru; — mykajże nazad, sprawiwszy swe rzeczy, wiatry północne miej na dobrej pieczy. Klnij się: Bodaj nas powietrze porwało, nami miotało.''

Co za świetne i plastyczne odtworzenie czasu i ludzi...

Nie pochlebił Klonowicz kupcom gdańskim; jego obraz świadczy, że byli pomiędzy nimi dybiący na naiwność bliźniego, jakich i dziś wszędzie nie brakuje. Czyby na niemoralność handlową wcale nie było lekarstwa?

[12]) „Ceklarz“ = woźny.
[13]) „Forytarz“ = rzecznik.
[14]) „Bargieltem“ = gotówką.
[15]) „Gielt“ = pieniądze.

Miasto Gdańsk jest warownią drugiego rzędu nad rzeką Motławą, która przybrawszy tu Radunę, uchodzi do zachodniego ramienia Wisły, oddalone jest o 6 kl m. drogi od morza Bałtyckiego; liczy 122,000 m. Miasto składa się z 6 części, oraz 9 przedmieść. Gdańsk jest miastem bardzo przemysłowem, posiada młyny parowe, piekarnie sucharów okrętowych, warsztaty okrętów, browary, sławne destylarnie i fabryki likierów, tytuniu, potażu, wyrobów chemicznych, octu, wyrobów złotych i srebrnych i innych. Handel tutejszy bardzo kwitnący, szczególnie jest wielki wywóz zboża, cukru i drzewa. Gdańsk posiada 116 własnych okrętów i 14 mniejszych nadbrzeżnych parowych statków i inne. Właściwy port Gdańska stanowi o 1 godzinę drogi oddalony port Neufahrwasser, położony na lewym brzegu Wisły naprzeciwko osady rybackiej i warowni Wisłoujścia (Weichselmünde.) Przybywających i wychodzących ztąd rocznie okrętów bywa około 4,000. Największe składy drzewa są w Langgarten, zboża w Speicherinsel. Statki parowe odchodzą z Gdańska regularnie do Szczecina i Elbląga, a kolej żelazna łączy Gdańsk z głównemi miastami Europy. Jest tutaj rezydencya komendy pruskiej stacyi morskiej na morzu Bałtyckiem.

M. S. — „Z .W.“



Podziemna kolej elektryczna w Paryżu.

Rycina poniżej zamieszczona obrazuje podziemną kolej elektryczną w Paryżu, na której w dniu 11-ym z. m. wydarzyła się straszna katastrofa, skutkiem zapalenia się wagonów (patrz nr. 34-ty „Pracy“, strona 1036 ta). Wiele trupów wydobyto z tunelu. Przedsięwzięto wszelkie środki ostrożności, aby w przyszłości takie nieszczęścia już się więcej nie wydarzały.

—ski.

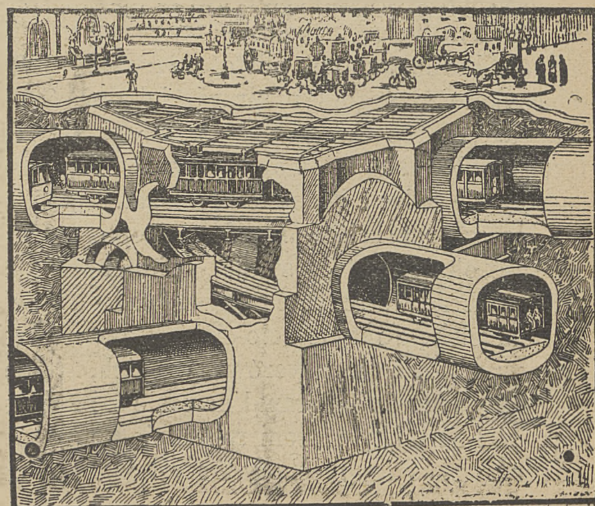




Dom angielski w Gdańsku.

Modlitwa Jagiełły.

Skoro lipcowe, piękne błysły zorze,
Mężny Jagiełło na Grunwaldu polu,
Ukląkł, wzrok wznosząc do niebios w pokorze,
I słał swe modły, z sercem pełnem bolu.
Pisał on: „Boże, przebacz nam, o Panie,
Że miecz dziś z pochew dobyć nam wypada,
Grabież na Litwy i na Polski łanie,
Krzyżak krwi chciwy dobytek napada!
Podstępnem dziełem krzywdzi nasze męże,
Nie szczędzi starców, dzieciny uwodzi,
Zuchwalstwem swojem wszędzie dziś dosięże,
W bezstronnych ofiar krwi szyderczo brodzi!
Pozwól o Boże, że wzniosę prawicę



Podziemna kolej elektryczna w Paryżu.

I lud do boju mój pierwszy powiodę,
Ażeby smutną obronić dzielnicę,
Rodzinnym chatom powrócić pogodę!
Słyszałeś Boże, że opamiętania
Słały na zawsze me słowa spokojne,
Lecz oto dzisiaj w Malborgu podzwania
Hasło zuchwałe na morderczą wojnę!
Błagam, o Boże, mocą Twojej chwały
Wesprzyj me ramię, by bój stoczyć snadnie!
A krew przelana niech na ród zuchwały,
Łupiezki zakon, z karą Twoją spadnie!“

. . . .

Kiedy po bitwie zbite w masy cielska,
Knechtów zuchwałych pola zaściełały,
Na ziemię Słowian szła jasność anielska,
Słońca się dziwnie jasne blaski słały.
W podzięce Bogu, szepcąc modłów słowa
Za wsparcie dłoni, dokonane dzieło,
Z pod Niepołomic, pieszo, do Krakowa
Kroczył do fary, mężny król Jagiełło.

Władysław Karoli.

Wielki bohater.

Wspomnienie historyczne.

Niedobitki korpusów Macdonalda, Lauristona i Poniatowskiego pozostawały jeszcze w Lipsku. Dowództwo nad niemi powierzył Napoleon księciu Józefowi, pewny, że dzielnie stawiać będzie opór nieprzyjacielowi.

Książę miał do obrony otwartego miasta 20,000 wojska, w czem 2,500 Polaków, podczas gdy trzykroćstotysięczną armię nieprzyjacielską skoncentrowano pod Lipskiem. Stracono nadzieję odparcia nieprzyjaciela; chodziło już tylko o stawianie mu trudności w posuwaniu się naprzód i ułatwienie odwrotu Napoleonowi przez Saalę. Mosty były przepełnione; postrach, z jakim przebywano dwie rzeki, zwiększał bezład odwrotu.

Opór obrońców Lipska trwał 19 października do południa; o tej porze przez jedną z bram, wskutek odstępstwa Badeńczyków, wtargnął nieprzyjaciel do miasta. Wobec zdrady i przewagi, trzeba było ustąpić; wojska cesarskie zaczęły się cofać ku środkowi miasta.

Jeszcze raz książę Józef miał sposobność okazać tutaj swoje bohaterstwo. Chcąc wstrzymać nawałę nieprzyjacielską a mając koło siebie tylko słaby szwadron kirasyerów polskich, tworzący jego świtę, stanął na czele tej garstki i z szablą w dłoni rzucił się na kolumnę pruskiej piechoty, rozbił ją i zmusił do ucieczki, sam rąbiąc nieprzyjacielskich piechurów. Wtedy to kula strzaskała mu ramię. Kazał sobie ranę opatrzyć, poczem dosiadł znów konia i walczył dalej z ręką na temblaku.

Przednie nieprzyjacielskie kolumny posuwały się ku murowanemu mostowi. Jeden z podoficerów saperów, sądząc, że jest poważnie zagrożony, podpalił minę i wysadził go w powietrze. Odwrót stał się wskutek tego prawie niemożliwym. Ażeby się dostać na drugą stronę Elstry, trzeba ją było wpław przebyć, gdyż wody jej wezbrały i wystąpiły z brzegów. Plajssa, chociaż mniejsza, niemniej fatalną stanowiła przeszkodę. Książę na czele garstki walecznych, party przez nieprzyjaciela, znalazł się nagle nad tą rzeką. Doradzano mu, ażeby się przeprawił na drugą stronę. On jednak, jakkolwiek stracił nadzieję zwycięstwa, chciał dalej jeszcze walczyć i odpowiedział dającemu mu tę radę generałowi, że trzeba zginąć walecznie. Zakomenderował ostatni raz do ataku, na chwilę wstrzymując napór zwycięzców. Przyparty do Plajssy, otoczony nieprzyjaciółmi, Poniatowski i jego sztab wystawieni byli na ogień piechoty. Nie było czasu do stracenia. Książę, który pragnął śmierci pełnej chwały, mógł dostać się w ręce sprzymierzeńców. Wobec tej ostateczności, zdecydował się w końcu Poniatowski przebyć wpław rzekę. Wody były wielkie i zaczęły konia księcia unosić; przywiązanie jednak jednego z oficerów sztabu, kapitana Blechampa (szwagra Lucyana Bonapartego) jeszcze raz uratowało mu życie. Dzielny ten młody człowiek, wyborny pływak, rzucił się w ślad za księciem do rzeki i dopomógł mu do wydobycia się na brzeg przeciwległy. Drogocennemu jednak życiu bohatera inne znów groziło niebezpieczeństwo. Elstra jeszcze oddzielała go od głównej armii. I kiedy szedł piechotą przez ogrody między Plajssą a Elstrą, rażony kulą w bok, padł w ramiona otaczających go oficerów. Odzyskał wkrótce przytomność. Wsadzono go na konia ;zaledwie się jednak mógł na nim utrzymać. Widząc to, nalegano na niego ze wszystkich stron, ażeby się dał opatrzyć i zdał dowództwo któremu z generałów; ale odwaga jego wzrastała w miarę niebezpieczeństwa i odpowiedział z zapałem: „Nie, nie, Bóg powierzył mi honor naszej armii i w jego ręce go złożę.“

Nadbiega oficer inżynieryi; zna miejsce, zapewnia, gdzie można wpław przebyć Elstrę. Książę kieruje się do tego miejsca, gdy wtem spostrzega przed sobą nieprzyjacielski oddział, który go wyprzedził i zagradza mu drogę. „Macie ich!“ — zawołał, zwrócił konia i zanurzył się w Elstrę. Osłabiony jednak upływem krwi, nie może koniem kierować. Koń pomimo to walczy z prądem i dociera do brzegu, ale brzeg jest stromy, zwierzę szarpie się i rzuca, nie może wyskoczyć... Wszystko to dzieje się wśród gradu kul. W tej fatalnej chwili trzecia kula dosięga księcia. Pada z konia i unosi go woda. Dzielny Blechamp spieszy mu znowu z pomocą, rzuca się w Elstrę, chwyta Poniatowskiego raz jeszcze, unosząc go jedną ręką, ukazuje się z nim na powierzchni wody, ale wkrótce znikają obydwa...

Ciało księcia znaleźli w dwa dni później rybacy. Książę Schwarzenberg, jego dawny towarzysz broni, naczelny wódz sprzymierzonej wówczas armii, kazał go pochować z honorami wojskowemi. Polscy oficerowie-jeńcy złożyli go do grobu. Zwłoki jego przewieziono później do Warszawy a stąd do Krakowa.

Kłośnik.

Najświętsza Panienka prządką.

(Do illustracyi albumowej).

Wrzesień w połowie, na świecie coraz przejrzyściej, bo na polach pusto; z drzew, sadów i borów liść opadać zaczyna. Słońce blaski z ukosa rzuca, rosa już szronem się ścina, a często o poranku wszystko w srebro się przyodziewa. Smętliwa to pora, lecz uroków pełna. Słusznie poeta ją nazwał: „darów Bożą czaszą, dziwnie mądrą, pełną cześci i kojącej pełną treści.“ Świat się mieni podtenczas barw tysiącami, niekiedy powtórnie kwitną kwiaty wiosenne, a wszędy snują się nici srebrne, błyszcząc osobliwie w rosach lub szronie, zgoła ziemię całą w srebrną przystrajając szatę.

Owe nici srebrzyste, w powietrzu fruwające, zowią powszechnie „Babiem latem,“ ale lud wioskowy nazwę tę za niesłuszną uważa, boć według niego są to okruszyny przędziwa Najświętszej Panienki. Trza wiedzieć, że Bogarodzica, ta Orędowniczka i Opiekunka nasza na wszystko baczy z miejsca Swego królowania, a skoro jeno niedolę postrzeże, skoro głos błagający usłyszy, niezwłocznie z upokojeniem, obroną i pomocą śpieszy. Jakoż postrzegła, że maleńkie dzieciąteczka, co bez Chrztu Ś-go ze świata schodzą, marznąć muszą u wrót rajskich podczas zimy. Użaliło się serce Królowej Nieba, usnuła z lnu najprzedniejszego przędziwo swoje, z którego potem Aniołowie dla tych niebożątek bieliznę tkają. A ono przędziwo święte Boską moc w sobie posiada, że do kogo się przyczepi, ten bodaj-

by przez chwilę tego dnia szczęśliwy będzie . Zdarzyło się razu pewnego, że pająęzysko, w postaci którego, jak wiadomo, pokutują chciwcy, lichwiarze, krzywdziciele biednych, ciężko pracujących ludzi, przechwalało się, iż jego przędza jest doskonalszą, niż przędza Najświętszej Panienki. Taka chwalba nie mogła ostać bez ukarania i odtąd pajączysko musi roboty swej dokonywać po zakątkach i norach.

Już to Najświętsza Panienka za dzieciątkami niewinnemi zawdy oręduje, nawet je po ogrójcu rajskim oprowadza i jabłka z drzew rajskich im rozdaje. Tak się raz przytrafiło, że kmieć chudzina kumów chrzestnych dla dziecka znaleźć nie mógł, gdyż była to pora żniwa, wszyscy przy sierpach od świtu do wieczora stali. Zmiłowała się Najświętsza Panienka, uprosiła Pana Jezusa. — Oboje, żebraków postać przybrawszy, na ziemię zeszli i za kumów się ofiarowali kmieciowi. Juścić się zgodził, chociaż markotno mu było, że tacy charłacy z pod kościoła w kumy się zaprosili... Ale markotność zmieniła się na radość, gdy mu charłacy owi w podarku dla chrześniaka skrzynię datków dali.

A najtroskliwiej Najświętsza Panienka przytula do serca anielskiego owe sieroteczki, co nie mają ojca, ni matki, tułają się i poniewierają między obcymi, łzami gorzkiemi się oblewają, poczciwego słowa nie usłyszą. Skoro Najświętsza Panienka ich nieśmiałe, żałośliwe westchnienia usłyszy — to czy skwar praży, czy wicher szaleje, czy mróz trzaskający się sroży — Ona śpieszy im z ratunkiem, gdziekolwiek się znajdują. We śnie do nich przychodzi i smutne pociesza, o zmarłych rodzicach im rozpowiada, jak matka o nich zabiega, a często do nich schodzi i na jawie. Zdarzyło się, że sieroteńka schroniła się pod lipę, ulubione drzewo Panienki, a Ta ją Swym płaszczem osłoniła i dobrze było pod świętą szatą dziecinie. Innym razem macocha kazała spać pasierbicy na ziemi, a mróz wtedy trzymał straszliwy. Niebożątko drgało od zimna, aż się do Burka przytuliło... Panienka na posłanie z kwiatów je przeniosła, aby mu się rozkosze rajskie przyśniły. Od posłania kwiecistego taka jasność biła, że aż się zbudziła macocha, a przekonawszy się, że sierota śpi na łonie wonnem, wygnała ją ztamtąd i córkę dorosłą tam umieściła. Ale Najświętsza Panna kwiaty w śnieg zamieniła i córka jędzy onej do rana kostnieć musiała. Innym razem się zdarzyło, że jedna z matek umarłych, usłyszawszy jęk sześciu córek swoich, poniewieranych przez złą macochę, podniosła dłonie martwe z obrazkiem świętym, i błagała Panienki, by jej pozwoliła upomnieć jędzę. Uzyskawszy pozwolenie, wyszła z mogiły, podążyła do chaty, gdzie zastała dzieciny wygłodniałe, obite, skulone na gnojowisku... Załkała boleściwie, a rozbudzone sieroty tulić się do rodzonej zaczęły. Ona je nakarmiła, umyła, upieściła ,pacierz z niemi zmówiła, a do snu ukołysawszy, obudziła okrutną macochę, popatrzyła na nią smutnie i rzekła:

— Nie dręcz dzieci moich, kobieto!

Przerażona jędza jeszcze nie ocknęła się z trwogi, gdy w majestacie ukazała się Panienka i tak do niej przemówiła:

— Strzeż się, złośnico, pomnij na nocy tej przestrogę, zmień serce, w dzieciach, nie krzywdź matki zmarłej.

Królowa Nieba sama z Siebie macierzyństwa wzorowego przykład daje: co sobotę na ziemię schodzi, rękoma własnemi giezłeczka Dzieciątka Swego pierze, aby zaś rychlej wyschły, rozkłada je na słońcu, które natychmiast promiennej połyska; jest ono przecież na służbie Panienki, więc przy pracy żwawiej dopomaga. Aniołowie również radziby dopomódz Panience, lecz śmiałości nie mają narzucać się z wyręką, wiedząc, że dziecięciu nikt, nawet anioł Boży, matki nie zastąpi, że najmilej mu pod opieką ukochanej a jedynej. Więc jeno patrzą, jak się ich Królowa trudzi, patrzą i serce jej podziwiają...

Orędowniczka nasza także do pracy pożytecznej ludzi pobudza. Dlatego z kądzieli swej nitki na ziemię rzuca, aby przypomnieć gospodyniom, że pora do przędziwa nastała. Bo wiedzieć należy, że i len , nie kto inny, jeno Matka Boska ludziom dała, prząść kądziel i tkać płótno też nauczyła. A było to tak: Dziewczyna pewna, bardzo, bardzo biedna, której rodzice ciężką chorobą złożeni pracować nie mogli, rozpaczała, że nijakiego sposobu wyżywienia ich i siebie znaleźć nie jest w stanie. Gdy się biedzi, frasuje, łzami gorzkiemi dolę czarną opłakując, Panienka zeszła z nieba i zasiała strapionej len, mówiąc:

— Bądź cierpliwą, skoro to ziele wzejdzie, skończą się twoje troski.

Ziele wzeszło na podziw pięknie, ale dziewczyna nie wiedziała, jak z niego pożytek osiągnąć. Wtedy Panienka znów zeszła z nieba, tym razem z gronem Aniołów, którzy z sobą przynieśli wszelkie przyrządy do uczynienia porządku ze lnem, również do przędzenia i tkania, poczem Najświętsza Nauczycielka Sama wskazała dziewczynie, jak około tej roboty poczynać należy.

Takie opowieści o Najświętszej Prządce wytworzyła fantazya ludu polskiego, niewyczerpana, mistrzowska, owa „arka przymierza między dawnemi i młodszemi laty'', w której lud składa„broń swego rycerza, swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty;'' która stoi na straży „narodowego Kościoła pamiątek, z archanielskiemi skrzydłami i głosem'' a czasem „dzierży i broń Archanioła.''

Kmicic.



Góral.

Mój góralu, czem się smucisz,
Czemu blednie twoja twarz,
Czemu tak żałośnie nucisz
Piosnkę, płacząc, druhu nasz?

Dawniej wesół byłeś zawsze,
Dzisiaj smutny — już nie ten,
Twoje ruchy były żwawsze...
Dziś wciąż płaczesz, patrząc hen.

Gdzie Wisełka wązką rzeką
Płynie pośród dolin, gór,
A gdy patrzysz, łzy ci cieką,
Łzy, jak gdyby pereł sznur.

Czy ci nasza nie w smak gleba,
Czy nie miły ci nasz kraj,
Bez uroku nasze nieba?...
Przemów! I odpowiedź daj!

— O nie! Kocham wasze łany!
Lecz dla tego czuję żal,
Że już muszę kij, łachmany
Wziąć i spieszyć w siną dal.

Bo już czuję koniec blizki
Mego życia, moich lat,
A chcę skonać tam, gdzie nizki
Stoi dom, gdzie ojciec, brat...

Wszak mi każdy z was to przyzna,
Że najmilej spocząć tam,
Gdzie jest własna ojcowizna,
A ja przecież dom swój mam.

C. M. O.

W pogodną noc letnią.

Z bajek o Twardowskim.

Wiadomo, że w ziemi Krakowskiej widzą na księżycu Twardowskiego.

Otóż pewnego lata, gdy w noc pogodną na dobre zdrzemnął się stary czarownik w swojem księżycowem krześle, śniło mu się, że go dyabeł zawiesił brodą na ostrzu sierpa. Lubo przez sen, mistrzowi na tę myśl ciarki przeszły po ciele... Trzeba jednak mieć się na baczności: jedno drgnienie i nieszczęście gotowe!

— Gdyby mnie był bestya zawiesił przynajmniej za ucho, a wreszcie

choćby i za nos — myśli sobie pan Twardowski — to gdybym się ruszył, sierp uciąłby mi ucho lub nos... Nie bardzo byłoby to przystojnie na ten przykład bez nosa, ale jakoś uszłoby to człowiekowi... Tymczasem teraz niechno ja się tu ruszę krzyneczkę, a nie utnie mi samej brody, tylko całą głowę, jak, nie przymierzając, kat toporem...

I coraz to większa trwoga przejmowała śpiącego czarownika: chyba, że go nigdy jeszcze sen tak nie trapił strasznie.

— Ba — myśli on sobie znowu — jeśli by mnie dyabeł zawiesił na tym sierpie za ucho, to przecież nie byłbym sobie wiele robił z utraty jednego ucha... Więc gdyby mi się za długo wydało na tej dziwnej szubienicy, byłbym głową ruszył i urwał się z sierpa bez swojego ucha... To prawda, ale zapomniałem o rzeczy najważniejszej: przecież to nie tylko ucho odleci — lecz i ja sam spadnę!... Gwałtu, ja gotów jestem i teraz zlecieć z księżyca na ziemię, a na dobitkę bez głowy — na pośmiewisko ludzkie!...

Zdwoił teraz uwagę przerażony pan Twardowski, byle tylko nie drgnąć i przemyśliwa z rezygnacyą — jak też to długo jeszcze potrwa ten figiel dyabelski. A w samej rzeczy musiało i sporo czasu upłynąć, skoro się biedakowi zachciało pić nareszcie. Zawraca tedy oczyma na wszystkie boki — i widzi, że dyabeł siedzi sobie spokojnie na księżycu i w ręku trzyma sierp, na którym wisi Twardowski. Odezwać się do dyabła niebezpiecznie — mając nóż pod brodą... Więc w milczeniu zaczął wisielec wzrokiem błagać o zmiłowanie. A czart mu na to drwiąco:

— Taki to z waści czarownik, że sobie rady dać sam nie umiesz w potrzebie?...

Zbyt boleśnie dotknęły takie słowa sławetnego ongi na Krzemionkach pana czarownika.

Zerwał się mistrz jak oparzony — jak gdyby naraz zapomniał, co mu grozi w takim wypadku — i jedną ręką machnąwszy w powietrzu w stronę mówiącego, drugą jednocześnie chwycił za rękojeść sierpa, którym — raz z jego ostrza uwolniwszy się zręcznie — chciał może nagle zamierzyć się na dyabła...

Lecz w tejże chwili — gdy mu się zdawało, iż wyrwał sierp z czarciej łapy, sam sobie nim głowy jakoś nie ściąwszy — przebudził się nagle ze snu przykrego pan Twardowski.

Jeszcze gorszy wszakże spotkał go przypadek.

Oto nagłym swym ruchem we śnie przewrócił się z krzesła — i spadł z księżyca.

Myślałby kto może, iż to tak, jak gdyby, nieprzymierzając, zlecieć z wieży Maryackiej w Krakowie... Tymczasem to z księżyca tak strasznie daleko, że Twardowski leciał i leciał dzień cały i dwie noce, zanim spadł na ziemię.

A świecił naówczas miesiączek w całej swej pełni tuż nad Łysą Górą — i na nią też prosto z księżyca zleciał pan Twardowski w pogodną noc letnią.

Wpadł biedaczysko między czarownice, tańczące tam wśród szalonych wrzasków na swych miotłach. Słyszał on je już w połowie drogi i pewnie mu czupryna na głowie dębem stawała na widok tych wiedźm w okropnych pląsach...

Wolałbym wpaść w morze bezdenne, lub sobie łeb rozstrzaskać o skały Giewontu, niźli wlecieć żywcem w to babskie koło — myślał sobie mistrz w obłokach, opadając coraz niżej; a już pot zimny oblał go całego gdy mu się naraz przywidziało, iż ze wszystkich wiedźm każda przypomina w czemś panią Twardowską.

— Lepiej mi było chociażby tydzień cały tam na księżycu, wisieć na ostrzu sierpa dyabelskiego — westchnął sobie czarownik z Krzemionek, gdy w tem wzmogły się jeszcze piski i krzyki dzikie uganiających na miotłach po Łysej Górze czarownic. Zobaczyły teraz bowiem wiedźmy, że to z księżyca leci ku nim człowiek, który wymachiwał czemś ciągle w powietrzu — i dlatego one, dawno już zauważywszy coś z góry powoli spadającego — brały to za ogromnego ptaka.

Jednakże prawdziwej uciechy doznały te czarownice dopiero z chwilą, gdy w człowieku, który między nie spadł z księżyca — poznały odrazu pana Twardowskiego... Toż to się wtenczas trzęsła Łysa Góra! Niemniej zaś chyba dygotała w onej chwili dusza w biednym pokutniku z księżyca.

Nuż go baby ciekawie kołem obstąpią i dalej — mleć, jak najęte, ozorami: aż sobie chłopisko musiało zatykać uszy oburącz. Co znowu one ujrzawszy, jęły się czubić między sobą okrutnie, jedna na drugą składając winę; wszystkie bowiem naraz pytaniami różnego rodzaju zasypawszy człowieka, chciały od niego odpowiedzi; a teraz wściekały się znowu, że Twardowski uszy na wszystko zatkał i żadnej nie słysząc — nic im nie powie.

Nareszcie udało się przecież jednej babie przekrzyczeć i na chwilę uciszyć resztę wiecowniczek i tej dopiero na rozmaite pytania zaczął opowiadać Twardowski coś — niecoś z tego, jak to mu się tam działo w długiej i dalekiej drodze przez obłoki.

Kiedy zdrzemnąwszy się trochę w krześle, nagle spadł z księżyca, odrazu oprzytomniał, że to nie sen przykry, ale że na jawie prawdziwe grozi mu niebezpieczeństwo. Więc jak na takiego, jak pan Twardowski, czarownika przystało, sam sobie zaraz poradził w ciężkiej godzinie.

Oto żeby nie runąć z góry na dół na złamanie karku, Twardowski schwyciwszy co żywo w palce poły swego kontusza, jął niemi w powietrzu spiesznie wymachiwać niby skrzydłami — i zaraz mu się zdało, że nie spada na łeb z góry, ale sobie leci, jakby nieprzymierzając ogromny nietoperz. Kiedy się tak upewnił, że mu już chyba nie stanie się nic złego, skoro może lecieć po powietrzu i to nawet tak wysoko, gdzie już żaden ptak się nie dostaje; zwolnił mistrz zadowolony swój lot orli i jak gdyby dla wypoczynku, przestał na chwilę machać połami kontusza... Powolutku ponad obłokami opadał coraz niżej, przelatując w drodze z księżyca na ziemię obok tysięcy gwiazd błyszczących.... Ledwie spojrzał na nie w przelocie, blask ich — że to zbyt blisko być musiało— odrazu oślepił Twardowskiego.

— Źle — myśli on sobie, nic nie widząc przed sobą, mimo, że tam dokoła od gwiazd mnóztwa jaśniej może było, niż na księżycu.

Ale jak na takiego, jak on, czarownika przystało, nie traci wcale głowy, tylko coprędzej sięga za żupan jedną ręką, drugą przytem dalej machając połą w powietrzu — i zażywa tabaki.

— Ho, ho, — powiada — nieraz ja w swej tabakierce znalazłem skuteczne lekarstwo na takie przypadki fatalne...

I zażył tym razem sporo Twardowski tabaki. Zakręciło mu w nosie głęboko... Poczem jak kichnie z wszystkich sił, mocniej od huku pioruna — tak się aż wszystko naraz zatrzęsło dokoła i gwiazd mnóstwo oderwało się od błękitnego sklepienia i pospadało z nieba na ziemię...

— Hola — zawołał jeden z archaniołów — zmiłuj się waść, panie Twardowski, nie kichaj tak mocno, bo nam z nieba postrącasz wszystkie gwiazdy.

Nic wszakże nie pomogło. Tabaczka działała a mistrz zlatując z księżyca podle gwiezdnego gościńca, kichał raz wraz z wszystkich sił, że wciąż gwiazdy leciały z nieba na ziemię. Ustało to zaś dopiero wtedy, gdy Twardowski opadł niżej aż pod obłoki.

Wówczas też wiedźmy na Łysej Górze przestały zbierać spadające

gwiazdy, a puściły się wszystkie w tan szalony z wielkiej uciechy z powodu zdobycia tak wielkich i niespodziewanych skarbów.

Tak je właśnie rozradowane ogromnie zastał pan Twardowski, spadłszy szczęśliwie z księżyca na ziemię. Jedno tylko wielkie palnął głupstwo, wygadawszy się przed czarownicami, że to jemu zawdzięczają one te skarby z nieba. Baby bowiem, gdy się o tem dowiedziały, tak zaraz opadły czarownika, że Twardowski, powróciwszy na księżyc, gdzie dotychczas we śnie zawsze mocno trzyma się krzesła — żałuje po dziś dzień owej chwili swego gadulstwa. Wprawdzie wiedźmy nie chciały zrazu puścić go, dopóki nie przyrzeknie, iż bodajby raz na miesiąc kichnie, by stale strącać im z nieba gwiazdy. Jakoś się jednak Twardowskiemu udało wytargować, że raz do roku kicha teraz zawsze na księżycu w tę samą noc letnią, w którą spadł ongi na ziemię.

I dlatego to dziś latem gwiazdy z nieba lecą w pogodne noce. Szkoda tylko, że chociaż je widać, jak spadają, trudno je złapać; co ma ztąd pono pochodzić, że ich najwięcej pochwycą w lecie czarownice na Łysej Górze, dla których ma to być skarb wielki.

Kazimierz Kalinowski.



Czachowski i obóz jego.

Opowiadanie żołnierza z 1863 r.

Dokończenie.

Dano rozkaz do odwrotu. Oddział zaczął się zbierać na gościńcu. Rannych, których mieliśmy siedmiu, odesłano do obozu na zabranych wozach, zabitych w liczbie czterech pogrzebano. Między nimi był kapitan Grzmot, dzielny, lecz nieostrożny. Przez nieostrożność utracił życie; wyjechawszy bowiem naprzód, natarł na pięciu Moskali razem stojących, z tych powalił dwóch strzałami z rewolweru i nieusunąwszy się, zaczął napowrót nabijać; trzej pozostali złożyli się, dali ognia, a waleczny nasz kapitan spadł z konia kulą w piersi raniony. Drugim był Niemiec Weis. Będąc zupełnie innej narodowości, opuścił Wiedeń i poszedł walczyć do Królestwa. Dwaj inni są mi nieznajomi, i tym oddaję tutaj cześć: niech spoczywają w Panu.

Między rannymi był nasz ukochany Łopacki: dostał postrzał niżej kolana, kula przeszła na wylot, lecz dzięki Stwórcy nie naruszyła kości; kapitan kosynierów O., który chcąc swych ludzi zachęcić, porwał sam kosę i naprzód się wysunął; kapitan 2-iej kompanji strzelców T., i czterech szeregowych.

W stosunku do naszych strat, straty Moskali były bajecznemi: na placu bowiem zostało 90 ludzi; — ośmiu a między nimi kapitan Nikeforów, który Suchedniów i Wąchock spalił, slynny z swych łupieztw i rozbojów, dostało się w nasze ręce, 3 fury z żywnością, 1 furgon amunicji, 65 karabinów i 80 ładownic było naszą zdobyczą.

Po odniesionem zwycięztwie wracaliśmy do obozu, pędząc Nikeforowa jako trofeę przed sobą. Z obozu cała szarża wyjechała w pół drogi na nasze przyjęcie.

W obozie jedzenie było dla zwycięzców przygotowane. Nie zapomniały o nas Polki: nie uważając na niebezpieczeństwo, na jakie się narażają, przybyły do obozu z całym przyborem dobrze zaopatrzonej kuchni: były tam bułeczki (niesłychane rzeczy w obozie), herbatka, piwo, a nawet wino, trzej muzykanci z jednym obywatelem przybyli, przygrywali krakowiaki, mazury, a wiara nasza rozochociwszy się, zaczęła tańczyć. Salę prędko przygotowano, żołnierze zrobili koło a w środku panie nie uważając na zmęczenie, do upadłego tańczyły, zapomniały nawet o wrażeniu ,jakie na nie sprawił widok wiszącego Nikeforowa; tego bowiem kazał Czachowski powiesić.

Tańce przerwał strzał: damy poprzestraszane powsiadały prędko na swoje bryczki i poodjeżdżały, my zaś chwyciwszy za broń, stanęliśmy gotowi po tańcu na nowo się bić. Lecz próżną była nadzieja; Czachowski, któremu za dużo było tych tańców, kazał strzelić, by tym sposobem zabawę przerwać, co mu się udało, bo po odjeździe dam i muzykantów pokładliśmy się w spokoju spać.

Nazajutrz 23-go kwietnia wyszliśmy z Piekła, a idąc przez Nekłaj posuwaliśmy się przez Końskie, lecz później obróciliśmy się ku Wiśle, a następnego dnia, tj. 24-go kwietnia spał oddział na kwaterach w Lipsku, gdzie 25-go dla nieustannie lejącego deszczu zostać musieliśmy, a dopiero 26-go opuściwszy Lipsk zaprowadził nas Czachowski do Solca o 7 wiorst odległego. Solec ma położenie tak cudne, jak rzadko które miasto. Na wzgórzu, którego jednę stronę obmywa Wisła, a z drugiej bystry strumień wypływający z gęstwiny, do wsi Raj należącej, wznosi się majestatycznie kościół z klasztorem OO. Reformatów. Miasto samo schludne, nie wiele domów liczące lecz za to murowane, posiada także kościół farny, na samym brzegu Wisły na wzgórzu stojący. Za Wisłą leży miasteczko Piotrowin z kościołem św. Stanisława, dalej na prawo Józefów, za Wisłą także leżący, a obróciwszy się, zobaczysz w dole Lipsk. Nie długo tam bawiliśmy, bo przenocowawszy, ruszył oddział w dalszy pochóod, kierując się ku Sandomierzowi. 3-go maja przybyliśmy do Tarłowa. Była to niedziela, a dla nas podwójne święto, bo i pamiątka historyczna tak nam droga. Tu wysłuchał cały oddział mszy św.(Kononowicza, Stamirowskiego i Wiśniewskiego nie było) i nie czekając południa, wymaszerowaliśmy z miasta a idąc bez wypoczynku, oparł się oddział aż około północy w Lasocinie. Rano opuściliśmy Lasocin, a przyszedłszy do Ożarowa zaledwie 9 wiorst od granicy austryackiej odległego, rozłożyliśmy się za miastem, lecz dla niepokojących wieści musiał Czachowski obóz zwinąć i Ożarów opuścić.

Zaledwie oddział minął 4 wiorst od Ożarowa odległe miasteczko Gliniany, natrafiła szpica na Moskali. Było to około godziny 3-ciej po południu, dnia 4-go maja. Moskale cofnęli się do wsi Boryj, dawszy wprzódy kilka strzałów, piechota ich obsadziła wieś, podczas gdy dragoni za krzakami ukryci ze sztucerów swych kulki nam zasełali. Jedna kompania galicyjskich strzelców pod dowództwem majora R. (Łopackiego rannego wywieziono do Galicji) obsadziła wzgórze wsi, przeciwległe i prażyła ztąd skutecznie moskiewską dragonję. Moskale nie myśleli ustępować ze wsi, a że nam na zdobywanie tejże ochoty zbywało, popukawszy do ciemnej nocy, poszliśmy w swoją stronę, co i Moskale uczynili. Całą noc następną maszerowano, a nad ranem, zaledwie oddział usiadł, by zjeść śniadanie, dały wedety znać, że Moskale nadchodzą. Ciągle już wtenczas za nami chodzili, z różnych miejsc wychodząc; chcieli oddział otoczyć, co im się jednak nie udało. Otóż i 5-go maja wyszli byli z Ostrowca w sile 300 ludzi , a połączywszy się z czterema rotami, które z nami się ucierały, chcieli nas zgnieść — silniejsi byli liczbą, bo oddział nasz z początku 630 ludzi liczący, zredukował się na 550; ponieśliśmy bowiem straty 23-go kwietnia w 11-tu ludziach a 4-go maja utraciliśmy 24 tak w rannych jak w zabitych, jakaś część znowu uciekła, gdy oddział pod granicę się podsunął a do 20 chorych zostawiliśmy w okolicy Solca.

Lecz brak w ludziach nagradzało męztwo pozostałych: bez najmniejszej trwogi uderzyli na nadchodzących Moskali i zmusiwszy do ucieczki gonili ich aż pod sam Ostrowiec, gdzie wsk[illegible] tek ran w tej potyczce od[illegible]

umarł ich major Chlewców. Straty nasze nie były liczne, ale dotkliwe, gdyż kilku dzielnych oficerów poniosło śmierć. Straty moskiewskie liczono na 45 zabitych i 50 rannych.

Tego dnia pochowaliśmy naszych zabitych i dwóch, którzy w skutek ran 4-go maja otrzymanych umarli, złączyliśmy się z Jankowskim i przybywszy do Batowa noc tam przepędziliśmy. Rano ruszył oddział z miejsca, a przeszedłszy przez wieś Rudę, spotkał oddział Grylińskiego, lecz nie pod jego komendą zostający, gdyż po rozbiciu oddziału 18-go kwietnia znikł Gryliński bez śladu, a nad resztkami objął dowództwo kapitan K., później przez Czachowskiego na stopień majora wyniesiony. Oddział ten nie połączył się z nami, lecz udał się w kierunku ku Iłży, gdy my poszli ku Rzeczniowu i Grabowcowi.

Koło południa dotarliśmy do Rzeczniowa ,a za nami w ślad postępowali Moskale, i zaledwie minąwszy Rzeczniów na pola wyszliśmy, by dostać się do lasu, dragoni już zaatakowawszy nas wstrzymali pochód; ogromny nieład, jaki wtenczas powstał, był przyczyną naszej klęski. Kosynierzy bez komendy opuścili gościniec i uciekli do lasu, kawalerja znikła bez śladu, piechota zaś najeżdżana przez dragonów i kozaków nie mogła się sformować. Cofnąwszy się więc do lasu rozsypaliśmy się w tyraljery i strzelając nie daliśmy podejść kawalerji bliżej. Tymczasem nadciągnęła i piechota nieprzyjacielska i połączywszy się z dragonami, którzy z koni poschodzili, posuwali się ku lasowi; my widząc znacznie przeważające siły naprzeciw siebie, cofnęliśmy się w głąb lasu, a potem wziąwszy się na lewo wyszliśmy na pole, którędy kosyniery z kawalerją uciekali. Nie mając nikogo z oficerów przy sobie, poszliśmy za ich przykładem, a dragoni objechawszy las dostali się na pole i zaczęli za nami strzelać; zaczęliśmy uciekać, o ile komu sił starczyło, by się nie dostać żywcem w ręce Moskali. Jużem opadał na siłach, gdy oto przejeżdża koło mnie jeden z naszych furgonów, chciałem wleść nań nie mogąc już uciekać, i już byłem jedną nogą w wozie, gdy w drugą nagle mi się gorąco zrobiło, zaćmiło mi się przed oczyma i padłem nieprzytomny.

Gdym się ocucił, znalazłem się w pięknie umeblowanym pokoju, a żyd jakiś, zapewne felczer, obwiązywał moją nogę.

Jakie koleje oddział Czachowskiego po bitwie 6-go maja przeszedł, wiadomo zapewne czytelnikom, gdyż stoczywszy jeszcze kilka zwycięzkich potyczek, musiał pod Ratajami uledz sile przeważającej, a rozpuściwszy oddział przybył do Galicji, zkąd w październiku napowrót wyszedłszy, po klęsce pod Jurkowicami dostał się w ręce Moskali, wprzód sobie strzałem z pistoletu życie odebrawszy.

D. P.



Leć piosenko....

Leć piosenko hen, przez łany,
Leć przez wielkie życia pola —
Gdzie dom szczęścia zrujnowany,
Lub gdzie czarna jest niedola.

I do smutnych serc i ludzi
Wpadaj jako blask słoneczny,
A gdy kogo dźwięk twój zbudzi,
Temu uścisk ślij serdeczny.

I tęczową daj nadzieję
Zrozpaczony wśród rozbicia,
I moc wiary, która grzeje...
Zniechęcony wróć do życia!

Wincenty Skowroński.

ZEMSTA.

Lew Sawicz Turmanow przeciętny obywatel, posiadający kapitalik, młodą żonę i poważną łysinę, grał pewnego razu w winta na imieninach u przyjaciela. Po grubszem „wpadnięciu," po którem aż go pot oblał, przypomniał sobie nagle, że już dawno wódki nie pił. Wstawszy od zielonego stolika, podążył na palcach, przeciskając się między stołami, przebył salon, gdzie tańczyła młodzież, tutaj uśmiechnął się wyrozumiale, po ojcowsku, poklepał po ramieniu młodego, szczupłego aptekarczyka, następnie wśliznął się przez małe drzwi do bufetu. Tu, na okrągłym stoliku stały butelki, karafki z wódką... Koło nich, wśród innych przekąsek, spoczywał na talerzu, otoczony cebulą i zieloną nacią pietruszki, na pół zjedzony już śledź. Lew Sawicz nalał sobie kieliszek wódki, klasnął palcami w powietrzu, jakby zamierzał wypowiedzieć mówkę, wypił wódkę, twarz jego nabrała wyrazu męczeńskiego, potem nabił dzwonko śledzia na widelec i....

Wtem, za ścianą dały się słyszeć głosy.

— Zgoda, zgoda... przemawiał śmiały głos kobiecy.... Ale kiedyż to może nastąpić?

„Moja żona — poznał po głosie Lew Sawicz. Z kim ona może mówić?"

— Kiedy zechcesz, moja droga... odpowiedział za ścianą nizki i dźwięczny bas. Dzisiaj nie bardzo wygodnie, jutro przez cały dzień jestem zajęty....

„To Diegtiarew!" — rozpoznał po basie Turmanow. — Więc i ty Brutusie, przeciwko mnie! Czyliżby i jego już zbałamuciła? Ach, cóż za nienacycona, niespokojna baba! Ani jednego dnia nie może spędzić bez romansiku!"

— Tak, jutro jestem zajęty — ciągnął dalej bas. — Jeśli chcesz, napisz do mnie jutro... Będę niewymownie uradowany i szczęśliwy... Ale trzebaby nam uregulować naszą korespondencyę. Należy obmyśleć jakiś sposób. Pocztą przesyłać listy niezupełnie bezpiecznie. Gdybym napisał do ciebie, twój indyk mógłby przyjąć list od listonosza; gdybyś ty do mnie pisała, to znów moja połowica odebrałaby list i rozpieczętowałaby go z pewnością.

— Jakże więc urządzić?

— Trzeba wymyślić jakiś fortel. Przez służbę listów nie można również wysyłać, gdyż twój mąż trzyma pewnie ostro pokojówkę i lokaja... Czy on gra w karty?

— Naturalnie. Wiecznie przegrywa, ciemięga!

— Widocznie zatem w miłości szczęście mu sprzyja! — zaśmiał się Diegtiarew. Oto, najdroższa, fortel przezemnie wymyślony....

Jutro, punkt o godzinie szóstej wieczorem, wracając z biura, będę przechodził przez ogród miejski, gdzie mam się widzieć z nadzorcą. Ty zatem, moja duszko, postaraj się koniecznie przed szóstą, nie później, wsunąć liścik do marmurowej urny, która, jak ci wiadomo, stoi na lewo od altanki z dzikiego winogradu...

— Wiem, wiem...

— Będzie to zarazem poetycznie, tajemniczo, a przytem... na nowy sposób... Nie dowie się o tem ani twój puzon, ani moja najprzywiązańsza.... Rozumiesz?

Lew Sawicz wypił jeszcze jeden kieliszek wódki i powrócił do zielonego stolika. Odkrycie, jakie uczynił w tej chwili, nie wzruszyło go, nie zdziwiło i wcale nawet nie oburzyło. Czas kiedy się oburzał, wyprawiał sceny, wybuchał gniewem, a nawet bił się, dawno już minął; machnął ręką, bo patrzał teraz na romanse swej żony przez palce. W każdym razie było mu to nieprzyjemnem. Podobne epitety, jak: indyk, niedołęga ,puzon i t. p. podrażniły jego miłość własną.

— Co to za kanalia z tego Diegtiarewa! — rozmyślał zapisując swoje minusy. — Gdy mię spotyka na ulicy, to udaje takiego słodkiego przyjaciela, wyszczerza do mnie zęby, po brzuchu mnie klepie, a za plecami buty mi szyje. W oczy druhem mię zowie, a poza oczami jestem dla niego indykiem i puzonem....

Im więcej przybywało mu minusów, tem dotkliwiej odczuwał obrazę.

— Gołowąs!... — myślał sobie, łamiąc ze złości kredkę. — Smarkacz!... Nie chce mi się tylko wdawać z tobą, alę już ja bym ci pokazał... puzon!...

Podczas kolacyi nie mógł patrzeć obojętnie na fizyonomię Diegtiarewa, ale ten, jakby umyślnie, natarczywie zarzucał go ciągle pytaniami: Czy wygrał? Czemu taki smętny? i t. p. Posunął się nawet do takiego stopnia, że korzystając z praw zażyłej znajomości, począł strofować jego małżonkę o to, iż nie jest zbyt troskliwą o zdrowie męża. Żona zaś, jak gdyby nigdy nic nie zaszło, spoglądała czułemi oczkami na męża, śmiejąc się głośno i szczebiocząc tak wesoło, że sam nie posądziłby jej o wiarołomstwo.

Powróciwszy do domu, Lew Sawicz czuł się tak źle usposobionym i niezadowolonym, jakby zjadł na kolacyę stary kalosz, zamiast cielęciny. Możeby się przemógł i zapomniał o wszystkiem, ale gadatliwość żony, i ciągłe jej śmiechy przypominały mu indyka i puzon....

Wypoliczkowaćby należało tego chłystka — myślał w duchu. — Skompromitować go publicznie!!

Dobrzeby było wybić teraz Diegtiarewa, postrzelić go w pojedynku, jak wróbla... Wysadzić z urzędowania, albo podłożyć mu coś paskudnego do urny, naprzykład... zdechłego szczura.. Możnaby wykraść list żony z urny i położyć zamiast niego jakie złośliwe wierszyki z podpisem „twoja Akulka“, albo coś w tym rodzaju.

Turmanow przechadzał się długo po sypialni i szukał pociechy, marząc o zemście. Nagle stanął na środku pokoju i uderzył się dłonią po czole.

— Znalazłem, brawo! — zawołał, a twarz jego rozpromieniła się radością. — Wybornie się to da urządzić! Przepysznie!

Kiedy małżonka jego zasnęła, siadł przy biurku i po długim namyśle, zmieniając charakter swego pisma, oraz siląc się na wymyślanie błędów gramatycznych, napisał co następuje: „Do kupca Dulinowa. Łaskawy Panie! Jeśli do szóstej godziny wieczorem dnia dzisiejszego, 12-go września, do marmurowego naczynia, co się znajduje w miejskim ogrodzie na lewo od altany z dzikiego wina, nie będzie włożone dwieście rubli, to będziesz pan zabity, a pański sklep galanteryjny wyleci w powietrze.“ Wypisawszy taki list, Turmanow aż podskoczył z radości.

— A co? Nieźle pomyślane? — mruczał, zacierając ręce. — Wspaniale! Lepszej zemsty nie wymyśliłby sam szatan! Kupczysko stchórzy oczywiście i doniesie zaraz policyi, a policya uczyni zasadzkę w krzakach przed godziną szóstą i łap-cap kochaneczka, gdy przyjdzie po liścik! Wyobrażam sobie, jak stchórzy! Zanim się sprawa wyjaśni, wysiedzi się i wycierpi, kanalia!... Brawo!

Lew Sawicz przylepił markę na kopertę i własnoręcznie odniósł list do skrzynki pocztowej. Zasnął z uśmiechem błogości na obliczu i spał tak słodko, jak mu się to już od dawna nie zdarzyło. Obudziwszy się rano i przypomniawszy sobie swój wczorajszy podstęp, począł nucić wesoło a nawet pogłaskał pod brodę swą niewierną małżonkę. Udając się do biura, jakoteż podczas godzin urzędowych w kancelarji, uśmiechał się nieustannie i wyobrażał sobie przerażoną minę Diegtiarewa, gdy się dostanie do zastawionego nań zatrzasku....

O szóstej nie mógł już wytrzymać i pobiegł do ogrodu miejskiego, aby naocznie przyjrzeć się rozpaczliwemu położeniu swego wroga.

„Aha?... — pomyślał sobie, napotkawszy policyanta.

Dotarłszy do altany, obrosłej dzikiem winem, usadowił się pod krzakiem i rzucał ciekawe spojrzenia na urnę, oczekując. Niecierpliwość jego nie miała granic.

Punktualnie o godzinie szóstej ukazał się Diegtiarew. Młodzieniec był, jak się zdaje, w najlepszem usposobieniu ducha. Miał cylinder, zuchwało nasunięty na tył głowy, z pod rozpiętego zaś paltota wraz z wzorzystą kamizelką zdawała się wyglądać cała jego dusza. Pogwizdywał sobie z cicha i palił cygaro...

— Poczekaj, poznasz ty zaraz indyka i puzon!...

Diegtiarew zbliżył się do urny i zanurzył w niej rękę... Lew Sawicz powstał z pod krzaka i wpił się oczami w postać Diegtiarewa... Młody człowiek wydobył z urny niewielki pakiecik, obejrzał go na wszystkie strony, wzruszył ramionami a na twarzy jego pojawił się wyraz niewymownego zdziwienia. W pakieciku znajdowały się dwa tęczowe banknoty! Diegtiarew oglądał długo te banknoty. Wreszcie, nie przestając wzruszać ramionami, wsunął tęczówki do kieszeni i wymówił wyraz: „Merci!“

Nieszczęśliwy Lew Sawicz słyszał to „merci.“ Przez cały wieczór stał potem pod sklepem Dulinowa, wygrażał z złością pięścią na szyld i mruczał z oburzeniem:

— Tchórz! Sklepikarz! Zajęcze serce!...

Antoni Czechow.
Tłom. z rosyjskiego.



Widzenie rotmistrzowe.

Jasno, gwarno, pełno, w wielkim modrzewiowym dworcu starego rotmistrza.

Na kominach płoną dębowe kłody, w górę płynie dym, długą, siną wstęgą, a dokoła zaległ grubą warstwą śnieg biały, gładki, od mrozów wypolerowany.

Gdzieś na tyłach rozległego podwórza, psiarnia rada jutrzejszej obławie wyła i skowyczała. Na ekonomii rozległ się głos podstarościego, co wydawał otrzymane od pana rozkazy. Czeladź dworska biegała ,nawołując i łając; cicho tylko było tam, gdzie ciemniały o staję, długie, nieruchome ściany puszczy Niepołomickiej.

Wszystkie głosy tak ludzkie, jako i zwierzęce biegły ku niej spotężniałe, zarośnięte echem i ginęły, przepadały w kniejach zbitych, bezbrzeżnych, nie mącąc ich spokoju.

Dopiero jutro, gdy na ponowę zadzwonią myśliwskie rogi, wrzask naganiaczy wypłoszy z legowisk stado łosi lub danieli, gdy ocknie się kudłaty miś i wstrząśnie rozgniewany, gdy w ostępie zaskomli przestraszona wilczyca a chór głodnych towarzyszy odpowie jej wyciem, dopiero wtedy puszcza ożyje, — dziś głucha jest i martwa.

A na jutrzejsze łowy ruszy drużyna spora, by dorocznym zwyczajem szczęścia popróbować. Sam gospodarz ich powiedzie, boć to dzień jego patrona; a choć sędziwy, bez mała wiekowy, lecz czerstwy i krzepki, rozrośnięty w sobie, jak te omszałe dęby, co wśród puszczy królują.

We dworze wre: To baby z dziewkami w czeladnich izbach warzą i prażą, bo cóżby innego czynić miały, na zjazd spodziewanych gości. Toć i królewska matka sama doglądała mielenia mąki we młynie, gdy jej znać dano o okrzyknięciu syna Michała królem.

Stary rotmistrz nie był już na tej elekcyi. Ma sporą garść wnuków i prawnuków, co go tam zastąpili i relacyę zdali o tem, jak się ona odbywała. Ot

i dziś, dwóch się takich przybycia spodziewał; a że jeden był hetmanem, a starostą drugi, więc dziad, choć to wnukowie, ale przez atencyę dla godności jakie piastowali, zrzucił codzienny bawoli kaftan i odświętnie się przyodział.

Na, perwistkami podbity żupan, barwy słomianej, w srebrne kwiatki, wziął kontusz karmazynowy, z odrzuconemi wylotami, które się z tyłu na haftki spinały, i pas lity tak cienki, że choć w koło siedem razy okręcony, jeszcze się wiązać dawał w węzeł misterny. Do tego szła czapka z denkiem aksamitnym, krymskim wyporkiem obramowana i karabela z rękojeścią sadzoną turkusami.

Tak przystrojony pan rotmistrz siadł ciężko na ławie, a że był sam, co dość rzadko mu się trafiało, dobył różaniec poświęcony i jął z cicha odmawiać godzinki.

Z sąsiedniej izby, wraz z rozgwarem dochodził go stuk mis latercynowych, brzęk srebrnych dzbanów i kubków, które na stołach rozstawiono; więc modlitwy szepcząc machinalnie, raz po raz wzrok podnosił, i na drzwi go kierował dębowe, po nad którerni wisiał ryngraf z blachy miedzianej kowany, z wizerunkiem Boga-Rodzicy.

W ilu to on potrzebach piersi jego osłaniał! Któż zliczyć to potrafi, kto?...

Myśl starego rotmistrza pobiegła wstecz, mijając lat dziesiątek kilka i poczęła stawiać daty jedne za drugiemi, a mało która oznaki jakiej nie zostawiła po sobie:

Więc te blizny najświeższe zryła szwedzka kula i dzida zaporozka, tę szramę głęboką zadał pogański jatagan Turczyna; kresa ta pochodziła od krzywej szabli tatarskiej; a były też i guzy w zawadzie domowej oberwane i skrobnięcie potężnej, niedźwiedziowej łapy, co się już nie liczyło, choć i to przecie wróg nie byle jaki...

— Ej, nie siedział człek za piecem, dawniejszymi czasy, — westchnął markotnie rotmistrz. Pierwszym ja bywał tam, kędy radzą i tam, gdzie kordem służyć trzeba było tej naszej Rzeczypospolitej. Ano dziś darmo rwać się: koście już tężeją i żubrowego łba, za jednym żamachem, jak to ongi bywało, odrzezać nie podołam... Fraszka to przecie, — dodał, dłoń żylastą na ławie opierając. Jest komu stanąć w kole wiecowem, jest komu dźwignąć ojców zbroicę, — od czegoż wnuki, prawnuki!....

Uśmiechnął się pod siwym wąsem i znów głęboko zadumał, sięgając teraz myślą w przyszłość. Chciał, choćby oczyma duszy ujrzeć te nowe, silne zastępy wzrosłe na jego popiołach i w zadumie tej oczy mu się skleiły, głowa na piersi opadła, a filozofia zmieniła się w ciche, a potem w głośne chrapanie, które belkami pułapu groźnie wstrząsało.

. . . .

— Proszę jegomości! orszak jakiś ciągnie. Sam król chyba — oznajmił wyrostek panu rotmistrzowi.

Ten, jako przystało na gospodarza, zaraz w gąnek szedł, by gościa powitać.

A gość był znać niezwyczajny. Orszak sunął dziwnie strojny, długi, osobliwy taki, że patrzącej nań służbie i gospodarzowi jedno odrazu do głowy przyszło:

— Biskup z newnikiem, albo graf zamorski.

— Boć u nas, choć kolebkami jeżdżą niewiasty możniejsze, alem takich jeszcze, jakom żyw nie widział, — dumał rotmistrz zdziwiony, przyglądając się.

A zaiste było na co patrzeć.

Więc przodem, z chyżością jelenią biegł laufer cudacznie ubrany, w sukni kusej, opiętej, czerwonej, złocistemi blaszkami naszytej. Za nim sunęła kolasa podwójna, żółta, szybami opatrzona, którą ciągnęło sześć ogierów siwych, w pióropusze i brzekadła strojnych, a powożonych przez forysia, pacholę dwunastoletnie w barwie błękitnej i białej.

Na koźle siedziało ludzi dwóch: strzelec cały zielony a zbrojny i stangret, istne dziwo, w ciemnym surducie, skrojonym z niemiecka, z futrzanem podbiciem i wyłogami, z pod którego wysoko upięta w koło szyi, bieliła się sztywna kryza. Na nią z tyłu zwieszał się długi harcap z kokardą; a mały, stosowany, czarny kapelusik, niewiedzieć jakim cudem trzymał się na głowie mocno upudrowanej i jak pudło wielkiej.

Za kolasą z tyłu, trzymając się sznurów, stali na desce wystającej dwaj sążniści lokaje, w liberyi błękitnej, od złota kapiącej i kapeluszach z piórami; a obok, z dwóch stron jechało czterech kozaków z barwnymi proporczykami, zbrojnych w samopały.

Dalszy ciąg orszaku składał się z kolaski skromniejszej, czterokonnej i dużej, ciężko ładowanej bryki, właściwie mówiąc — karabana, na którym oprócz woźnicy, siedziało dwóch wyrostków w węgierskim stroju.

Na końcu wreszcie samym jechał konno łowczy, wiodąc psów pięknych sforę.

Gdy ekwipaż pierwszy przed gankiem stanął i lokaje drzwiczki otworzyli, dopomagając wysiąść swemu panu, stary rotmistrz więcej jeszcze zdumiał, w mimowolnym chyląc się ukłonie.

Przed nim stał gość, którego nie wiedział, jak mu powitać należy, z tej prostej racyi, iż nie był pewien, kogo właściwie ma przed sobą: niewiastę, czy znacznego kościelnego dostojnika.

Gość ów bowiem otulony był w płaszcz długi, aksamitny, gronostajami podbity, w ręku trzymał dosyć duży zarękawek soboli; a na głowie miał czepiec pod brodę zapięty i takiemże futrem obłożony, z pod którego na plecy zwieszały się włosy, gęstą, jedwabną siatką osłonięte, starannie w pukle skręcone.

Dopiero gdy służba płaszcz wzięła od pana, ukazał się on we francuzkim stroju: Miał tedy suknię fiołkową jedwabną, strojną w żaboty koronkowe i wstęgę orderową. Spodnie białe morowe, pończochy z klinami i trzewiki błyszczące, o wysokich korkach, a u boku cienka szpada, ubioru dopełniały. Bił zaś od niego zdala zapach piżma tak silny, że rotmistrz, a za nim, jakby na komendę czeladź cała jednocześnie kichać zaczęła.

— Nim próg przestąpię, winienem się wprzódy sprezentować, zaczął tenże. — Jako szambelan króla imci Stanisława Augusta, wysłany z misyą pewną delikatnej natury, do Krakowa z Warszawy podążam; a jako wnuk z prostej linii onego pana rotmistrza, umyślniem z drogi zboczył, by jemu, głowie rodu, atencyę moją głęboką złożyć, w dniu tak dla nas uroczystym.

Rotmistrz z tej mowy, pół po francuzku, a pół po polsku wygłoszonej, zrozumiał tylko tyle, że jakiegoś wnuka, niepojętą godność piastującego, ma przed sobą, i na moment osłupiał.

— Tandem tedy — począł wreszcie, — waszmość pan kasztelan...

— Szambelan, — poprawił gość i jął rodowód swój wywodzić, co mu, z powodu łamanej mowy, dość trudno przychodziło.

Porozumieli się jednak w końcu, a rotmistrz zgnębiony, zaprowadził wnuka do jałowcem wykadzonej antykamery najparadniejszej w domu i zajął się rozmieszczeniem siedzących w drugiej kolasie: kamerdynera, fryzyera, pisarza i reszty pomniejszej służby z orszaku przybyłego.

Tymczasem panu szambelanowi nawykłemu do przepychu warszawskiego dworu, nie swojsko było jakoś, w dziadowskim dworcu starym. Zapach jałowcu mdłości mu sprawiał, a okryte skórami ławy wstręt budziły. Na drobne, w ołów oprawne szybki patrzył, jak na coś osobliwego.

Niktby jednak po nim przymusu

nie poznał. Zachowywał się z dworską układnością tak, jakby mu tu najprzyjemniej było, i opowieścią o ostatniej miłosnej króla przygodzie starał się bawić gospodarza.

Lecz ten wyrazu: „dyplomacya“ ze słuchu nawet nie znając, siedział jak osłupiały. Od czasu do czasu sążnistą prawicą targał wąsa, i tak już na dół opuszczonego, muskał z desperacyą czuprynę siwą i węzeł pasa tarmosił.

Nie słuchając tego, co mu gość prawi, patrzył wciąż tylko na jego postać zdrobniałą, zniewieściałą, na twarz starannie wygoloną i głowę w łokach osypanych pudrem, na ręce pulchne, delikatne, białe, zdobne w drogie pierścienie i bransoletki, na cienki u boku sterczący rożenek, — a po głowie ustawicznie krążyła mu myśl jedna:

— Więc tacy to są wnukowie jego, których wyobrażeniem lubował się przed chwilą?... A więc tacy mężowie mieli stać na straży spuścizny pra-ojcowej?... A jakież będą latorośle, wyrosłe z pnia podobnego?...

(Dokończenie nast. pi).



Dwa wierszyki
wiejskiej dziewczyny.

G........, dnia 28-go Sierpnia 1903.

Szanowna Redakcyo!

Przysełam dwa wierszyki, jeden „Żal po Pakosławiu,“ drugi „Żal ludzi.“ Ułożyła je moja siostra, wiejska dziewczyna, licząca obecnie 18 lat. Ona już ma wierszy ułożonych przeszło 20, a są między niemi niektóre bardzo ładne, n. p. „O Janie Sobieskim jak pod Wiedniem Niemców ratował“ „O Bismarku“ i wiele jeszcze innych. Te dwa wiersze przysełam na próbę.

Z uszanowaniem
Maciej P., gospodarz
w G. p. D. pod Rąwiczem.

* * *

I.

Żal po Pakosławiu.

Znów się rana Ojczyźnie
Srogo zakrwawiła,
Gdy kultura niemiecka
Pakosław nabyła.

Polacy, cóż robicie?
Ziemię sprzedajecie,
A Ojczyznę kochaną
Do grobu wtrącacie.

Podły zdrajco Ojczyzny
Patrz, jak kmiecia syny
W pocie czoła pracują,
By nie stracić ziemi.

Gdy zaś który z biedy
I nędzy upada,
To się zaraz pocieszyć
Idzie do sąsiada,

Aby ta własność jego,
Ta ziemia kochana
Nie była Germana
Ręką zaorana.

A tyś, zdrajco Ojczyzny
Pakosław zaprzedał,
Czemuś w ręce Polaków
Polskiej ziemi nie dał?

Czekaj krzywda Polaków
Ciebie marny synie,
Chociaż w Ameryce
Nigdy nie ominie.

O nieszczęsny wyrodku!
Niechaj cię nie zbawia
Krzywda, którąś uczynił
Ziemi Pakosławia.

* * *

II.

Żal ludzi.

Zkąd te płacze nadchodzą
Zkąd to narzekanie?
Ach Pakosławski
Ludek ręce łamie.

Ale czemuż to, czemu
Ludek ręce łamie?
Ziemię naszą wykupili
Wrogowie Germanie.

Ziemię, którą my przy pracy
Krwią, potem oblali,
To tę ziemię ukochaną
Niemcom zaprzedali.

Ale któż to zaprzedał?
Czytajcie w kronice:
Zdrajca, polski hrabia,
Już jest w Ameryce.

A dla czegoż to Polacy
Ziemi nie kupili?
Bowiem hrabia sprzedał skrycie,
Byśmy nie wiedzieli.

Ale hrabia był Polakiem (?!)
Żył z Polską serdecznie,
Lecz kochał Polskę obłudnie
I zdradził ją wiecznie.

Więc mówicie w Ameryce
Hrabia się znajduje...
Skończmy, niechaj zdrajców wiecznie
Krzywda prześladuje!

Katarzyna P.

Przypisek Redakcyi: Powyższe wierszyki, które zamieszczamy według oryginału bez wszelkich zmian, świadczą najwymowniej o tem, jak lud nasz gorąco kocha swą ziemię i jak płacze nad tem, że sprzedawczyki ją zaprzedają wrogom.

Wierszyki te dalej świadczą, że i między ludem są wierszokletki z łaski Bożej. Dowód to najlepszy, że lud nasz jest już tak oświecony, że się zabiera nawet do pisania wierszy. Cześć wiejskiej dziewczynie, Katarzynie P., za to, że tak kocha swój ojczysty zagon, i że tak dzielnie piętnuje sprzedawczyka, hrabiego Cz z P.



Z teatru.

Sezon zimowy rozpocznie się stanowczo w sobotę 19 września rb. Sztukę na otwarcie teatru przeznaczoną ogłosimy w najbliższym czasie — na razie poznajomimy czytelników z spisem osób zaangażowanych. Personal damski składać się będzie oprócz pań, już dawniej na scenie poznańskiej pracujących: *Królikowskiej, Orwidowej, Grabowskiej, Czerniakowej, Marjewskiej i Cichockiej*, jeszcze z nowoangażowanych: *Leonii Gawlikowskiej*, liryczno-naiwnej, *Ady Kosmowskiej*, rezonerki salonowej, *Heleny Pawłowskiej*, lirycznej i do ról śpiewnych, *Sarbiewskiej*, amantki salonowej, *Zofii Sławińskiej*, do ról dramatycznych (ze sceny lwowskiej), *Kościukówny* ze Lwowa, bohaterki dramatycznej, *Karoli Różyckiej i Heleny Kowalskiej* sopranistek ze Lwowa, *Maryi Chrzanowskiej*, śpiewaczki z Warszawy, wreszcie *Rupniewskiej* (z domu hr. Brochockiej) śpiewaczki operowej z Warszawy, znanej ze scen włoskich i naszych. Personał męzki składają panowie a) poprzednio już na scenie poznańskiej przebywający: *Czerniak, Dobrzański, Dybizbański, Poleński, Turski, Wiślański, Ryszkowski, Prochaska, Szymański, Siennicki.* b) nowoangażowani: *Jan Pawłowski* z krakowskiej sceny, *Ludwik Fritsche*, amant salonowy (syn dr. Fritschego, twórcy warszawskich kolonii wakacyjnych dla ubogiej dziatwy), *Juliusz Kopczyński* baryton z Warszawy, *Józef Zaremba*, śpiewak komiczny, *Józef Kramarzewski*, tenor, *Alfred Szczuka* tenor, *Leon Garbowski*, charakterystyczno-dramatyczny i *Jarszewski*, amant liryczny z Warszawy.

Oprócz tego kilka osób chóru damskiego i męzkiego. — W ciągu sezonu gościnnie występować będą pierwszorzędne artystki sceny rządowej war-

szawskiej: panie *Łaska* i *Kawecka*, oraz artyści śpiewacy tejże sceny *Józef Rads* i *W. Rapacki*.

Dyrekcya zakupiła na sezon najbliższy dużo nowości dramatycznych od renomowanych autorów *Z. Przybylskiego, Gorczyńskiego, Palińskiego, Kończyńskiego* i *Kaweckieego*.

Z sztuk śpiewnych ukażą się najnowsze operetki: *„Posłaniec 6666,“ „Słodka dziewczyna,“ „Uroczy skarb“* i *„Lizystrata;“* projektuje się również wystawienie z panią Rupniewską (hr. Brochocką) oper Stanisława Moniuszki: *„Halka,“ „Flis“* i *„Verbum nobile.“*



Jeszcze wciąż można zapisywać

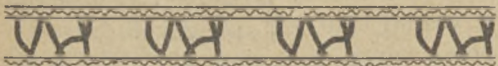
„PRACĘ"

na miesiąc wrzesień.

W obrębie państwa niemieckiego jest ***każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany*** każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na wrzesień

tylko 42 fen.

Uwaga: Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę“ z Poznania.



Zaległe numery musi dostarczyć każda poczta na żądanie.



W 25-ym numerze rozpoczęliśmy druk niezmiernie ciekawej, nader zajmującej i sensacyjnej powieści p. t.

Śpiewaczka ludowa

z bardzo licznemi illustracyami.

Powieść oparta na faktach historycznych z r. 1815, jest tak interesująca, że trudno się od niej oderwać.

Początek powieści dostarczymy nowym abonentom bezpłatnie i fr.



Komu zależy na punktualnem, regularnem otrzymywaniu „Pracy“, niech zamówi „Pracę“ na poczcie. Jest to najwygodniej i najlepiej.

Jeszcze czas zapisać

„Czytelnię Polską"

na nowy kwartał.

„CZYTELNIA POLSKA“ zapisana jest na poczcie w spisie gazet na rok 1903 pod rubryką: „Abtheilung II 1. poln. 13.“

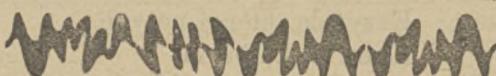
Abonament „CZYTELNI POLSKIEJ“ wynosi kwartalnie

60 fen.

W Austryi i wogóle w Austro-Węgrzech

pod opaską: kwartalnie 1,10 mk czyli 1 koronę 23 hal.

Numery okazowe „Pracy“ i „Czytelni“ wysyłamy na żądanie bezpłatnie.



W 32-gim zeszycie

„Czytelni Polskiej"

rozpoczęliśmy druk jednej z najlepszych i najpiękniejszych powieści znakomitego literata i komedyopisarza ś. p. Michała Bałuckiego p. t.

„Biały murzyn.“

W powieści powyższej opisuje autor z niezwykłym darem obserwacyjnym stosunki galicyjskie, uwypukla wybornie charaktery, opowiada zajmująco i doskonale, słowem powieść

„Biały murzyn“

jest od początku do końca bardzo interesująca i owiana prawdziwym duchem swojskim, czysto polskim. Powieść tę każdy czytać będzie z wielkiem zaciekawieniem.

Początek powieści otrzyma każdy nowo przybyły abonent gratis, jeżeli nam nadeśle na dowód kwit pocztowy abonamentowy.

Ze względu na rozpoczęcie druku powyższej, rzeczywiście bardzo pięknej powieści, zachęcamy Czytelników i Przyjaciół naszych do najliczniejszego zapisywania sobie na poczcie i w naszej ekspedycyi w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej 38 „Czytelni Polskiej.“

Kwity na „Czytelnię“ zamieszczone są na osobnej stronie pod okładką.



Wiadomości.

— **Piękny portret w kolorach** Ojca św. Piusa X, dołączymy jako premium do „Pracy“ jeszcze w bieżącem ćwierćroczu. Portret będzie wykonany pod każdym względem artystycznie i przewyższy wartość kwartalnej przedpłaty na „Pracę.“ Niech więc korzystają z tej sposobności nowi abonenci jak najwięcej i niechaj zapisują sobie „Pracę“ na wrzesień bezzwłocznie na poczcie i w naszej ekspedycyi w Poznaniu. Kwity pocztowe na miesiąc wrzesień są zamieszczone na osobnej stronie pod opaską. Przedpłata na ten miesiąc wynosi tylko 42 fen.

— **Z powodu** uporządkowania naszej biblioteki i wydania nowego katalogu upraszamy najuprzejmiej wszystkie te osoby, czy są naszymi członkami lub nie, które posiadają nasze książki, aby zechciały je bezzwłocznie przesłać (pozamiejscowe niefranko) do naszego lokalu przy placu Bernadyńskim 2 parter (kamienica p. Frankiewicza.)

Zarząd Tow. Młodzieży Kupieckiej.

— **Pani Helena Moczyńska** obejmuje z dniem 1-go października r. b. na własność znaną konfekcyą damską po pani Kazimirze z Jerzykowskich Szulcowej i takową nadal prowadzić będzie pod dotychczasową firmą w tem samem co dotąd pomieszkaniu przy ulicy Wiedeńskiej nr. 8 I piętro. Szczęść Boże!

— **Kapelusze damskie**, dziecięce i modelowe poleca w wielkim wyborze pani *Wanda Rosada* przy ulicy św. Marcina nr. 32.

— **W seminaryum** Froeblowskiem dla bon i ochroniarek oraz w szkółce dla młodszych dzieci, znajdujących się przy ulicy Długiej nr. 4, rozpoczyna się kurs zimowy z dniem 13-go października r. b. Bliższe szczegóły podane są w ogłoszeniu. Przełożoną zakładu jest znana i szanowana nauczycielka, pani *Walerya Puffke*.

— **Pan Fr. Barański** w Mogilnie założył obok swego od lat 35 przeszło istniejącego interesu siodlarsko-tapicerskiego *lakiernią z powoźnictwem* połączoną. Zwracamy na ogłoszenie p. B. baczną uwagę Szanownym Czytelnikom.

— **Biuro pośrednictwa** na Wildzie przy ulicy Następcy tronu nr. 113 otworzyła pani Ł. Rejewska. Bliższe szczegóły podaje anons. Nowemu przedsiębiorstwu życzymy wszelkiej pomyślności.

— **Kurs buchalteryi.** W przeświadczeniu o potrzebie rzemieślnikom znajomości nauki książkowania, urządza Towarzystwo nasze jak to już od kilku lat czyni, kurs buchalteryi dla czeladników i młodszych majstrów. Kursiści będą mieli sposobność zapoznać się z formą prowadzenia i z przeznaczeniem ksiąg, jak inwentarza, księgi kasowej, pamiętnika, księgi głównej, bilansu itd., a oprócz tego nabiorą na podstawie stosownych objaśnień zrozumienia, jak potrzebnem jest prowadzenie książek nawet skromny tylko warsztat posiadającemu rzemieślnikowi. Nauki tej udziela pan Franciszek Mellin w poniedziałki

i czwartki od 8—10 godziny wieczorem w lokalu przy ul. Szkolnej n. 6 na II p. Pierwsza lekcya odbyła się w czwartek 10 b. m. Zgłoszenia przyjmuje skarbnik Tow. naszego p. Wł. Adamski w Bazarze przy ulicy Nowej. — Biorący udział płacą za cały kurs po 3 mk., resztę kosztów pokrywa Towarzyswo. — Aby dorobek powiększyć, winien przemysłowiec pracować ze zdwojonemi siłami i dbać o wydoskonalenie się pod najrozmaitszemi względami; między innemi starać się posiąść umiejętność prowadzenia książek po kupiecku i z wprawy tej korzystać.

Poznań, we wrześniu 1903.

Dyrekcya Tow. Przemysłowego w Poznaniu.

J. Kużaj, prezes. Dr. Hącia sekretarz.

— **Królowo Korony polskiej, módl się za nami!** Sąd bytomski nakazał zniszczyć wszelkie egzemplarze, płyty i formy książki do nabożeństwa, zawierającej te tyle niebezpieczne dla państwa pruskiego słowa!

— **Proces** o rzekome ułatwienie ucieczki Piaseckiej, głośnej w swoim czasie z zajść wrzesińskich, odbędzie się 17-go września przed Izbą karną w Gnieźnie.

— **Akademia w Poznaniu** zostanie otwartą w dniu 15 października b. r. Wyższy ten zakład naukowy, który powstaje w celach germanizacyjnych, obejmować będzie wykłady z zakresu ekonomii, nauk handlowych, literatury, historyi, sztuk pięknych, nauk lekarskich, z języków francuskiego i angielskiego. Rektorem akademii będzie profesor dr. Kühnemann z Bonn, personał profesorski jest już zorganizowany.

— **Próbka geografii** popularnej dla wychodźców: Altenkirche — Starzewo kościelne; Altona Altany; Charlottenburg — Szałatkowo; Cöln Kielnia; Crefeld — Krzywałki; Dortmund — Dormądzice; Eisleben — Zaślebin; Essen — Jasień; Gelsenkirchen Giełżykowo; Osnabrück — Oślebryki; Saarbrück — Szarebryki; Solingen — Solinki; Recklingen — Rychlinek etc. etc. (Prosimy Czytelników o ciąg dalszy. „Dz. Pozn.)

— **Dodatków pensyjnych** („Ostmarkenzulage“) domagają się także urzędnicy pocztowi, nie chcąc być gorszymi od innych urzędników i nauczycieli. Sprawa ta poruszoną będzie na wiecu hakatystycznym w Gliwicach, zapowiedzianym na 13 b. m.

„Posener Tageblatt“ nazywa żądanie to uprawnionem, gdyż urzędnicy pocztowi na kresach wschodnich narażeni są na — „szykany ze strony ludności polskiej.“ (!!)

Czyżby organ hakatystyczny pozostawał pod wrażeniem kanikuły?

— **W celu naprawy stosunków**, jakie się obecnie wytworzyły w Prusach Zachodnich, zjechało się w zeszły poniedziałek w Tucholi grono obywateli z wszystkich stanów i z różnych okolic na poufną naradę.

Przewodniczył sędziwy p. Prądzyński z Bralewnicy. W ożywionej kilkagodzinnej dyskusyi, w której brali udział ks. prob. Reymann z Pruszcza, pp. Paszoci z Plemiąt, dr. Krefft z Brus, Wojnowski z Gzik, Stefański z Grudziądza i inni, poruszono wszystkie sprawy, obchodzące nasze społeczeństwo i wskazywano sposoby ku naprawie nieznośnych obecnych stosunków. W końcu postanowiono w tej samej sprawie urządzić wielki wiec ogólny. Tak donosi „Gazeta Grudziądzka.“

— **Przeciw polskiej nazwie.** Policya katowicka wystosowała jak donosi „Górnoślązak“, do zarządu tamtejszego „Banku ludowego“ następujące rozporządzenie, które przytaczamy dosłownie ze względu na to, że tak wyraźnie charakteryzuje stosunek tamtejszej policyi do Polaków.

Rozporządzenie to brzmi w tłomaczeniu:

„Wzywamy Panów, abyście w przeciągu 24 godzin nazwę ulicy (ulica Andrzeja nr. 2), umieszczoną w polskim języku na godle firmowem „Banku ludowego“ przy narożniku ulic Andrzeja i Beaty ze względu na porządek policyjny usunęli albo w niemieckim języku umieścili.“

W razie nieposłuszeństwa zarządu, grozi policya temuż ściągnięciem zaliczki w wysokości 3 m. na koszta usunięcia napisu, którego sama dokonać zamierza.

Zarząd Banku odwołał się w tej sprawie przez p. mecenasa dr. Adamczewskiego do wyroku sądowego.

Ciekawa rzecz, czy sąd tak samo na tę rzecz zapatrywać się będzie.

— **Lüssum p. Blumenthal w H.**, dnia 31 sierpnia 1903. Dobrowolna składka Tow. śpiewu „Wesołość“ w Blumenthalu na powodzian. Połowa składki przeznaczona na Poznańskie i połowa na Galicyą, którą Szan. Redakcya zechce do właściwych rąk doręczyć. Pokwitowanie proszę uprzejmie w „Pracy“ umieścić wraz z podaniem ofiarodawców jak następuje:

Tow. śpiewu „Wesołość“ 20 m., N. N. 10 m., Jakób Zawidzki 1 m. 50 fen., Stan. Sprutta 1 m., Stan. Karwacki 1 m., Stan. Waldowski 1 m., M. Kwintkiewicz 1 m., Fr. Kwintkiewicz 1 m., Kaźm. Kaczmarek 1 m., Karól Piossek 1 m., Rob. Piossek 1 m., Ign. Gibasiewicz 1 m., Piotr Laudowicz 1 m., Józef Szymański 1 m., Franc. Matuszek 50 fen., Józef Osiągłowski 50 fen., Paweł Stankiewicz 50 fen., Stan. Binek 50 fen., Wal. Grobarek 50 fen., Leon Stybaniewicz 50 fen., Franc. Zimorski 50 fen., Tom. Gibasiawicz 50 fen., Jan Kołeczko 50 fen., Leon Finke 50 fen., Kaź. Janalik 50 fen., Mich. Karwacki 50 fen., Stan. Przymuszyński 50 fen., Leon Szwałkiewicz 50 fen., Franc. Mokwiński 50 f., Stan. Hübner 50 fen., Stan. Wala 50 f., Piotr Kwintkiewicz 50 fen., Ignacy Szymański 50 fen., Jan Przybylski 50 fen., Stan Kujawa 30 fen., Leon Tacik 30 fen., Tom Szwałkiewicz 20 fen., Roch Zimorski 20 fen. Razem 53 m. 50 fen., odchodzi portoryum 30 fen. pozostaje 53 m. 20 f.

Z szacunkiem

Stanisław Kwintkiewicz.

Przyp. Redakcyi. Z tej sumy przypada połowa 26 m. 60 fen. dla biednych Wielkopolan, dotkniętych powodzią, a połowa 26 m. 60 fen. dla biednych Galicyan, nawiedzonych tą klęską.

Dla Wielkopolan złożono dotychczas u nas 45 m. 35 fen., a dla Galicyan 31 m. 60 fen.

Dalsze datki przyjmujemy.

Zmarli.

† Ś. p. *Helena Knothe* dnia 1-go b. m. w Poznaniu w 31 roku życia.

† Ś. p. *Gustaw Rabiger*, prywatny nauczyciel, dnia 3-go b. m. w Poznaniu w 76 roku życia.

† Ś. p. *Stanisław Szczęsny hr. Tyszkiewicz* dnia 16-go z. m. w Dombrowie w Kongresówce. Pogrzeb odbył się dnia 18-go z. m. w Czarnożyłach, gub. Kaliska.

Ś. p. *Stanisława z Tomaszewskich Pierska* dnia 4-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 59.

† Ś. p. *ks. Józef Sobeski*, proboszcz w Zbąszyniu, dnia 6-go b. m. w 67 roku życia.

Od Redakcyi.

Panu Majewskiemu w miejscu. — Fedora nie jest córką Grudzińskiej, bo z tą książę Konstanty istotnie dzieci nie miał, ale jest to tylko przybrana córka, o czem później przy końcu powieści będzie wzmianka.

Zarządowi Tow. Pań miłosierdzia św. Wincentego à Paulo na św. Łazarzu. — Notatka o zeszłoniedzielnej zabawie doszła nas za późno, dlatego zamieścić jej nie mogliśmy w numerze 36-ym „Pracy.“

Panu X. H. w K. — Nie możemy się z listu Pana dorozumieć, o co mu właściwie chodzi.

Narodowcowi w Tucholi. — W tytule cesarza austryackiego brzmi: „Królestwo Galicyi i Lodomeryi.“

Panu Fr. Ort. w Berlinie. — 1) Nie wiemy czy taka broszurka wyszła 2) wyczerpane.

Pani A. Z. G. z prowincyi. — Udaj się Pani do księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu po informacyą.

Panu Wilh. Dymorzowi w Bujakowie pod Gliwicami. — Możemy Panu zamieścić anons bezpłatny, wyszukiwaniem miejsc zajmują się tylko biura stręczeń.

Pani Z. N. w W. — W czasie trwania konkursu nie będzie władza policyjna (wydział powiatowy) chciała dać konsensu na wyszynk, chociaż nie ma nic na przeszkodzie do stawienia wniosku o udzielenie konsensu. — Wydział powiatowy (Kreisausschus) może i żonom udzielić pozwolenia do prowadzenia interesu połączonego z wyszynkiem; prawnie nie jest to wzbronionem.

Panu B. L. w Poniecu. — Wiersz nam nadesłany zarezerwowaliśmy do numeru specyalnie papiezkiego, ale skoroś go Pan nadesłał jednocześnie i innemu pismu codziennemu, które go już zamieściło, w takim razie my już wiersza drukować nie możemy.

Panu Władysławowi H. w Berlinie. To nie jest warunkiem koniecznym, ale redakcya musi wiedzieć od kogo odebrała artykuł i posiadać dokładny adres autora.



Dział kobiecy.



Hygiena tańców.

Tańcom hołdowały wszystkie ludy od początku świata, oddając się upajającej tej rozrywce z całym nieraz zapałem, który przechodził w szał, podnosząc niejednokrotnie sztukę tańca do wysokości kultu religijnego. Cała tajemnica upojenia tkwi może w tem, iż rytm łaskotliwie dźwięcznych tonów muzyki wprawia nawet bezwiednie wszystkie mięśnie tańczącego w harmonijny ruch i drganie. Każde włókno rozkołysane w takt strausowskiego walca, zdaje się w nas tańczyć, bawić się i upajać...

Z tem wszystkiem dokładnej recepty absolutnie podać nie można, jeśliby się nas ktoś zapytał „który taniec najwięcej hygiena zaleca: czy menuet naszych dziadków, czy też dzisiejszą figlarną polkę Millöckera lub też zawrotnego walca Straussa. Decydującym jest tu jedynie stan indywidualny zdrowia danserki lub dansera. Nie jeden przetańczy trzy i cztery noce z rzędu i to mu służy. Wytrzyma, jest nawet kontent z siebie i zdrów tak samo jak ów filister konserwatywny, co swoje nieuniknionych dziesięć godzin musi odespać, żeby tam nie wiedzieć co. Tymczasem osoba chorowita przetańczy normalnie skromną poleczkę „suwaną,“ a już zadycha się, postękuje i zaszywa się czemprędzej na długo w kąt kanapy, aby zasłużenie odpocząć i odsapnąć. A już mowy nie ma o tańczeniu osób chorych na serce, dotkniętych ostrą gruźlicą, najmniej też zaleca się tańczenie pannom, które mają silnie rozwiniętą bledniczę. Bo jeżeli tym potrzebny jest wogóle ruch i emocya, to ruch ten nie może być tak radykalnym, jakim jest taniec, ale musi być hygienicznie systematycznym, znoszącym co najmniej ślizgawkę.

Bardzo ważną jest rzeczą przestrzeganie przy tańcu stósownej toalety. Jeszcze z panami jest jaka taka rzecz, ale co się pań tyczy, to lekarze już są w formalnej rozpaczy. Starają się oni na wszelkie sposoby wytłumaczyć paniom, iż stanowczo idąc na zabawę tańcującą, nie powinno się tak niemiłosiernie ściskać sznurówką, a one nie chcą słyszeć o tem. Równie gabinetową kwestyą jest obuwie, które powinno być stanowczo nie obcisłe, ale lekkie i o jaknajniższych „obcasikach.“

Stara historya jest z wodą do picia podczas tańcy. W tym wypadku apostołkami hygieny są już same mamusie, które, mimo okrutnego zaspania, jakie ich pogrąża na zabawie, zawsze jeszcze pamiętają o tem, ażeby ich córki nie napiły się przypadkiem za zimnej wody, a nie napiły się za gwałtownie,przez co łatwo nabawićby się mogły zapalenia płuc, albo jakiej innej choroby. Bo zresztą zimnego piwa, wody, czy limoniady można się napić, ale pod warunkiem. Należy pić bardzo małemi haustami i po wypiciu natychmiast tańczyć dalej.

Ostrożnie również bardzo należy przewietrzać, czy wentylować salę w czasie, gdy w niej odbywa się zabawa. Najmniejsza wówczas i najmniej znaczna fala, która się raz przespaceruje przez salę, może dwie lub trzy „zegrzane“ osoby kosztować zapalenie płuc. Takie rozkoszne pocenie się jest rzeczą bardzo zwykłą i ze stanowiska hygieny łatwo wytłomaczoną wobec rytmicznego przyspieszenia funkcyi życiowych tańczącego. I tak, jeśli przeciętny człowiek w życiu codziennem wydziela 500 gramów wody w kroplach potu, to w czasie jednego wieczoru balowego wydał tych gramów wody aż 2,500!

Jeszcze słówko: jeśli kto jest przy końcu zabawy tak niemożliwie spocony, niechże już wstrzyma się od tej ostatniej piekielnej i wichrowatej galopady, którą się praktykuje na końcu każdej prawie tańcującej zabawy. Każda zabawa powinna się kończyć nie galopadą, ale spokojnym i spacerującym polonezem. Ta okoliczność, nieco niezgadzająca się z dotychczasową normą balową, byłaby z pewnością mocno błogosławioną w skutkach... hygienicznych.



Sztuczne brwi i rzęsy.

Gdyby koronowano próżność kobiecą, palma zwycięztwa musiałaby przypaść tym damom, które korzystają z wynalazku fryzyera angielskiego, tworzącego na twarzy sztuczne brwi i rzęsy. Cała ta procedura jednak równa się małej katowni i potrzeba nielada odwagi, aby poddać się tej bolesnej operacyi. Operator bowiem pracuje cienką igłą, u której wisi włos wzięty z głowy. Wzdłuż całej powieki pod skórką wierzchnią prowadzi się wolny szew tak, że tworzą się małe loczki, którym po żelazku nadaje się kształt rzęs. Tak samo robią się brwi. Następnie zawiązują się chustką napuszczoną olejem. Nazajutrz jest już dobrze i ma się najpiękniejsze brwi i rzęsy. Ten ból przecierpiany może opłaciłby się, gdyby nie to, że takie brwi i rzęsy trwają tylko sześć miesięcy, — do odnawiania zaś co pół roku, potrzeba rzeczywiście żelaznej woli... „charakteru.“



Kobieta.

przez

Kazimierza Brodzińskiego.

Trzy razy żyjąc na świecie,
Świat cały tulisz do łona.
Na piersiach matki, jak dziecię
Szczęśliwa, nie wiesz o świecie.

Kochanka tuląc do łona,
Jak w świecie w nim zatopiona,
Zapomnisz wcale o świecie.

A tuląc własne swe dziecię,
Świat cały tulisz do łona.



Dział rolniczo-ekonomiczny.

Uprawa i handel daktylami.

Zapotrzebowanie daktyli na całej kuli ziemskiej jest tak wielkie, iż hodowla i zbiór tego owocu zajmuje poważne miejsce w rodzinnych jego krajach. Zapoznajmy się więc bliżej z palmą daktylową, dającą nam owoc tak smaczny i tak ogólnie lubiany.

Palma ta jest właściwą Arabii i północnej Afryce, gdzie głównie zdobi oazy, lecz rośnie ona również w Hiszpanii, Korsyce, Sardynii i na wyspach Jońskich, dochodząc 40 łokci wysokości. Palma daktylowa, prócz wybornego owocu, zajmującego poważne miejsce w handlu wszechświatowym przysparza miejscowej ludności wiele innych jeszcze korzyści, np. pień właściwie nacięty wydaje słodki płyn, zwany mlekiem palmowem, które po fermentacyi nabiera winnego smaku, a przez dystylacyę staje się doskonałym alkoholem. Pień palmy jest też bardzo dobrem drzewem budulcowem, pestki owocowe zjadają wielbłądy, liśćmi zaś murzyni pokrywają dachy i plotą z nich kosze i kapelusze. W Marokko, w Afryce hodują około dwustu gatunków tych palm, począwszy od dających najwykwintniejszy owoc, aż do pospolitych, rodzących małe i suche daktyle, zużywane przez krajowców, konie, bydło i wielbłądy. Zakładając plantacyę, murzyni ścinają pewną ilość młodych pędów, wyrastających u stóp starszej palmy, co najmniej dziesięcioletniej, pozostawiając jej tylko kilka pędów. Ścięte młode latorośle sadzą w gruncie gliniastym, bez nawozu, w odległości kilku metrów i w pierwszym roku podlewają je obficie, aby młode pędy silnie się zakorzeniały. Później przerywają je w odległości 9—10 metrów, obficie nakładają nawozem i jak najstaranniej hodują przez dziesięć lat; w tym przeciągu czasu można doprowadzić palmy do dwóch metrów wysokości, lecz zaczynają one rodzić dopiero po 13—15 latach, dając na początek do 20 funtów owocu. W miarę rozrostu drzewa, dochodzącego nieraz kilkuset lat wieku, palma rodzi bardzo obficie; z 20-letniej zebrać można nieraz do 300 funtów.

Daktyle zrywają się zanim zupełnie dojrzeją, poczem rozkładają je na słońcu, aby wyschły; dłuższy deszcz zastający owoc jeszcze na drzewie, niweczy zbiór.

Daktyle, wyznaczone na wywóz są lekko zsypywane do koszów i przewożone na mułach do miasta Fez. Tam je starannie przebierają i układają w drewniane pudła, wysłane papierem i brązowem płótnem, poczem wysyłają je głównie do Londynu, gdzie cena owocu tak się podnosi, że, gdy sto funtów kosztuje na miejscu około siedmiu franków, tam płacą od 80—120 za najlepszy gatunek.

Daktyle pozostające na miejscu i przeznaczone na dłuższe przechowanie, bywają tak prasowane jak suchary; nie są bardzo słodkie, lecz również pożywne.

Francya czerpie swoje transporty z Algieru, gdzie owoc przeznaczony do Europy układają w paki, podczas gdy wysyłane do New-Yorku lub Indyi idzie tylko w koszach, prawdopodobnie dla tej przyczyny, że do Europy oddają owoc wyborowy, a tam tylko gorsze gatunki.

W Europie, jak wspominaliśmy wyżej, są również plantacye palm daktylowych, np. w Hiszpanii w pobliżu miasta Elche, będącego niegdyś osadą rzymską. Uprawa daktyli została tam wprowadzoną jeszcze przez Maurów, drzewa są również olbrzymie i tworzą prawdziwe lasy palmowe, z których Hiszpania ciągnie wielkie zyski.

G. Z.



Handel Serbii.

Wobec zainteresowania, jakie budzi obecnie Serbia, podajemy kilka danych statystycznych o jej stosunkach handlowych z innemi mocarstwami. Obrót handlu zewnętrznego Serbii w r. 1902 był znacznie większy od obrotu roku poprzedzającego: wartość wywozu z 65 milionów franków wzrosła do 72 mil. fr., przywozu zaś z 43 mil. fr. do 44 mil. fr. Wśród krajów dowożących towary do Serbii pierwsze miejsce zajmują Austro-Węgry, na które przypada więcej, niż połowa całego przywozu; w r. 1902 dowieziono do Serbii towarów austryackich przeszło na 25 mil. fr. Drugie miejsce zajmują Niemcy (15 procent przywozu), trzecie Anglia (10 proc.). Dowóz towarów z Austro-Węgier do Serbii najbardziej powiększył się w dziale wyrobów metalowych, skór garbowanych i niegarbowanych, towarów kolonialnych i tp. Wywóz w Serbii, pomimo powiększenia się jego ogólnej cyfry, zmniejszył się znacznie w wielu ważnych grupach towarów, np. w grupie zbóż; przeciwnie wzrósł wywóz owoców i mięsa, zwłaszcza wieprzowiny, drobiu i słoniny. Artykuły wywozu serbskiego idą głównie do Austro-Węgier: około 80 proc. eksportu serbskiego dostaje się na rynki austryackie. Drugie miejsce wśród państw, do których wywożone są towary serbskie, zajmują Niemcy. W ostatnich czasach znacznie wzrasta wywóz z Serbii do Belgii i Anglii. W rozwoju handlu zewnętrznego Serbii na zaznaczenie zasługuje szybki wzrost wywozu. W r. 1893 Serbia wywiozła towarów za 48 mil. fr., a sprowadziła za 40 mil. fr. Od tego czasu przywóz zwiększył się bardzo mało, wywóz zaś podniósł się o 24 mil. fr. Powiększenie wywozu Serbji przypisać należy dwom okolicznościom: z jednej strony powstaniu wielkich rzeźni bydła, a z drugiej rozwojowi ogrodnictwa i hodowli drobiu.



Rozmaitości.

Nowy materyał budulcowy.

Pomysłowość ludzka zużytkowała w ostatnim czasie odpadki z korków, używanych do zakorkowania butelek. Z tych odpadków zaczęto wyrabiać — cegły, uznane za bardzo dobry materyał budulcowy. Fabrykacya tych cegieł uskutecznia się w następujący sposób:

Odpadki, pocięte na drobne cząstki, mieszają z gaszonem wapnem i gliną garncarską; masę tę urabiają następnie w stosownych formach i suszą w piecu przy wysokiej temperaturze.

Cegły korkowe mają tę przewagę nad innemi, iż są nadzwyczaj lekkie, a co się może wydać nieprawdopodobnem — prawie ogniotrwałe. Dają się łatwo dzielić i bez wielkich trudności można w nie wbijać gwoździe i wiercić dziury. Spajają je zwykłym sposobem t. j. za pomocą wapna, gipsu lub cementu. Cegły takie, pociągnięte smołowcem, mają być nadto doskonałym materyałem do budowania składów na przechowanie lodu.



Dodatek Humorystyczny.

Moja Dulcynea.

(Fragment z porywów serca).

Poniżej okna mego,
W framudze wązkiej ściany,
Strzeżony ode złego —
Był klejnot mój schowany...

Nie śmiejcie się z poety,
Łzy rońcie raczej krwawe,
Że klejnot ten, niestety,
Kuchenną miał oprawę!

Bo w kuchni rzecz się działa...
Ach, nie drżyj mi, stalówko!
Mój klejnot — ot, rzecz cała:
Był piękną pokojówką...

Patrzyłem na nią codzień,
Gdym w lufcik wsuwał głowę,
Choć kryłem się jak zbrodzień,
Ze względu na obmowę...

Nie uwierzycie może,
Lecz daję na to słowo,
Że drżałem jak niebożę,
Tę główkę widząc płową...

Ach, co za cudne lice!...
I czar w postaci miała!
Podobna do Eunice —
Powabów pełna cała...

Gazelli miała oczy
I taki smutek w wzroku,
Że byłbym jej, ochoczy,
Winszował wciąż uroku...

Nie była to, ach — wierzcie,
Sługa, jak wszystkie sługi!
Bo takiej w całem mieście
Nie znalazł-by nikt drugiej!...

Więc w jassyr wziąć się dałem
Przez moją Dulcyneję,
I z okna jej sprzyjałem,
Nie bacząc na zawieje...

I pomyślałem sobie,
Rozkoszy czując drżenie:
A toż hałasu zrobię,
Gdy się tak z nią... ożenię!...

I cóż w tem złego zgoła?...
Więc wnet geniuszów cienie
Me serce czule woła
Na usprawiedliwienie...

Wszak trudno wziąć za kaczkę
Tych faktów okruszynę,
Że Heine — miał swą szwaczkę
Rafael — Fornarinę...

Czemuż się wahać zatem?
Gdy los tak chce widocznie!
Mam-że być sobie katem,
Nie wierzyć w swą wyrocznię?...

Otwarcie wyznam wreszcie,
(Ach, wybacz mi to, pani!)
Że mi salony w mieście
Stanęły kością w krtani...

I owe damy strojne,
Co minki robią wiecznie,
I ciotki bogobojne —
Choć mówić tak — niegrzecznie...

Zbrzydły mi etykiety
I blichtr błyszczącej nędzy,
Pragnąłem dziś na wety
Miłości — bez pieniędzy...

Więc codzień ukochanej,
Pachnący, choć nieduży,
Do sznurka przywiązany
Bukiecik słałem róży...

Raz ją spotkałem w sieni,
Gdy trzepać szła dywany.
— Niechże się pan odmieni! —
Rzekł anioł ubóstwiany.

— Mnie pani wciąż wymyśla,
I to mi *honur* plami,
Bo *peda* moja *stara,*
Że wdaję się z chłopami!...

Ja jej tłomaczę snadnie,
Że czynię to z miłości,
Że może nam wypadnie
Żyć wspólnie do starości...

A ona mi odpowie:
— Egipskie to gadanie,
Nie zawróć mi pan w głowie,
Bo u *nasz* dzisiaj pranie!... —

Zaś kiedy innym razem
Rzuciłem jej z za szyby:
— Ach nie bądź dla mnie głazem,
Nie przypominaj ryby! —

To — wyobraźcie sobie:
Zachciało się tej damie,
(Tu zapał mój już w grobie),
Bym z nią... flirtował w bramie!

I tak zrywała oto
Tę nić mych słodkich marzeń!...
Ciskała serce w błoto
Wśród życia tego zdarzeń...

A kiedy ja chęć miałem
Wprowadzić ją do raju,
Ona — uczuciem śmiałem —
Kochała się w lokaju...

Czuła z nich była parka,
Zbratani byli z sienią;
Mówiła mi kucharka,
Że pewnie się „pożenią"...

. . . .

Nie miałem już oazy
Na stepie mego życia,
Nabrałem też odrazy
Do jadła i do picia!...

I kląłem ten mój zapał
Do „niższych sfer ludności,"
Bo raz... mnie lokaj złapał
I obić chciał mi kości...

Cóż warta zatem praca
„U podstaw" — Boże drogi?!...
Gdy za nią taka płaca —
Powiedzcie-ż, socyologi?!...

Pigmaljon.



Arcydzieło.

— Co ty, żonsiu, dziś cały dzień tak mordujesz fortepian?

— To polka mojej kompozycyi.

— Ja zaraz poznałem, że to jakieś arcydzieło, bo psy pod oknami ciągle ci owacyę robią.



Wielkie szczęście.

Grzegorz Piramowicz, znany z dowcipu i trafnych odpowiedzi, nieraz mawiał:

— Bardzo się boję wielkiego szczęścia.

— A to dla czego? — spytał go raz jeden z przyjaciół, zdziwiony tą uwagą.

— A no, — odrzekł Piramowicz na pozór bardzo poważnie, — bo jak mi się raz stodoła spaliła, to wszyscy mówili: Wielkie szczęście! mógłby się cały folwark spalić.



Jakich lekarstw lud nasz używa?

Kalafiorek ma być (Kali-chloricum)
Krople olesiowe (Krople aloesowe)
Maść Jadwiga (maść de vigo)
Męcyła go za łeb (Mussillago salep)
Krople z butów (eau de Bottot)
Maść uczynkowa (maść cynkowa)
Akwa ledwo co łazi (aqua laurocerasi).

Dział powieściowy.

Przedruk wzbroniony).

SPIEWACZKA LUDOWA.

Powieść illustr., oparta na faktach historycznych z r. 1815.

12)

(Ciąg dalszy.)

— Więcej niż moje życie! Gdy chcieliście mnie poprzednio zabić, nie drżałam o siebie tylko o Henryka. Bo on cierpiałby strasznie, gdyby mnie stracił!

— Szalona! Więc ty myślisz, że on ci jest wiernym?

Teresa zdziwiona, spojrzała na przełożoną, która słowa te dziwnym wymówiła tonem.

Co to miało znaczyć? Że Henryk jej się sprzeniewierzył?

Ach, to niepodobno! Georgja chciała ją zastraszyć, albo rzucić oszczerstwo na Henryka, o jedno kłamstwo mniej lub więcej nie chodziło jej wcale. Nie, Henryk był jej wiernym tak, jak ona jemu, i chociażby jej kto nie wiedzieć co opowiadał o nim, to ona nie uwierzy!

— Jeżeli tylko miłość dla hrabiego Orszańskiego wiąże cię ze światem, — odezwała się znowu Georgja, — w takim razie zostań lepiej u nas i przywdziej habit. Ale ja wiem, że chociażbym ci prawdę powiedziała, to nie uwierzysz, bo mi nie ufasz. Może więc uwierzysz własnym oczom.... Pójdź ze mną!

Jedna z sióstr wzięła lampę i podniosła ją do góry — za nią szły Georgja z Teresą.

Gdy przybyły na dziedziniec klasztorny, otworzyła Georgja małe drzwi w murze i w następnej chwili znalazła się z Teresą w klasztorze mnichów.

— Zaraz staniemy na miejscu, — szepnęła przełożona, — tylko jeszcze na te schody.....

I wskazała kręte schody wiodące na chór w kaplicy.

Teresa szła jak we śnie. Po co ją prowadzono do kaplicy? Co ona tam miała ujrzeć?

Mała kaplica jasno była oświetloną, kilku mnichów stało przy drzwiach, na stopniach ołtarza klęczały dwie osoby, jakaś kobieta w białej sukni i mężczyzna... Ksiądz dawał im ślub....

Po prawej stronie stał jakiś mężczyzna nizki, garbaty — ręka jego obejmowała szablę wiszącą u pasa — co to wszystko znaczyło?

— Ślub — szepnęła Teresa.

— Tak ślub, — powtórzyła Georgja i roześmiała się, a śmiech ten brzmiał, jak syk węża.

— Ale czyj?

— Dowiesz się zaraz kto narzeczoną i kto narzeczonym — słuchaj, ksiądz pyta właśnie....

Nie wiedząc jeszcze o co chodzi, zaczęła Teresa drżeć całem ciałem, a zimny pot wystąpił jej na czoło. Wytężyła wzrok, chciała koniecznie dojrzeć twarzy narzeczonych, ale daremnie. Byli oni obróceni plecami dalej i nie podnosili nawet głowy.

Teraz dał się słyszeć głos popa.

— Leo Lebel — ty, która właśnie przez chrzest święty zostałaś przyjętą do grona chrześcjan, powiedz, czy chcesz zaślubić tego, który klęczy tu obok ciebie, i być mu wierną aż do śmierci?

— Tak! — odrzekła narzeczona głośno i wyraźnie.

— A ty — zwrócił się pop do narzeczonego, — chcesz zaślubić z własnej i nieprzymuszonej woli tę dziewczynę i być jej wiernym opiekunem? Odpowiedz mi, hrabio Henryku Orszański!

Teresa zachwiała się i byłaby upadła, gdyby Georgja nie była jej pochwyciła w objęcia.

— Tak! — dał się słyszeć głos Henryka.

— No i cóż? — szepnęła Georgja — chcesz wrócić na świat? Czy myślisz zawsze jeszcze, że znajdziesz wymarzone szczęście przy boku twego Henryka?

— Myślę tak — bo zdaje mi się, że tam na dole odgrywa się komedja. — Ja wam nie wierzę, nie wierzę! Zdrada Henryka zabiłaby mnie! Ach, gorsze to niż śmierć, niż zamurowanie żywcem..... Nie, ja nie wierzę!

— Patrz na dół!

W tejże chwili obrócili się nowożeńcy i szli ku drzwiom w towarzystwie małego, garbatego mężczyzny.

— To on! Henryk! — krzyknęła Teresa i rzuciła się jak nieprzytomna, — ukradziono mi go, porwano mi go! Sprzeniewierzył mi się Henryk! Zdradził mnie! Nie ma już wierności na świecie!

Przełożona wyprowadziła przemocą Teresę na schody, inaczej byłby Henryk usłyszał jej wołania na chórze.

Nowożeńcy nie przeczuwając, co się w ich bliskości działo, wyszli z kaplicy, wsiedli do karety i odjechali. W kaplicy zapanowała znowu głęboka cisza.

Teresa nie zemdlała, nie płakała. Są cierpienia tak straszne, tak gwałtowne, że człowiek jest jak odurzony i nie wie, co się z nim dzieje.

Tak też było i z Teresą. Zeszła z Georgją ze schodów, milcząca, na pozór nawet spokojna, i udała się z nią do jej celi. Georgja posunęła jej krzesło.

— Tereso — rzekła dosyć łagodnie — obstajesz zawsze jeszcze przy swoim zamiarze opuszczenia nas? Nie przekonałaś się, że nie ma na świecie prawdziwej miłości i wierności? Że mężczyźni są zdrajcami i bawią się tylko sercem kobiety? I gdy się znudzą — rzucają je, szukając nowej zabawki? Po raz ostatni podaję ci rękę — zostań u nas! Nie pożałujesz tego!

Gdyby ten klasztor był prawdziwie katolickim klasztorem, gdyby była musiała wyrzec się świata i poświęcić chorym i nieszczęśliwym, to z rozkoszą byłaby się na to zgodziła. Ale zostać w tem piekle — nigdy!

— Nie — odrzekła stanowczo, — ja tu nie zostanę pod żadnym warunkiem! Pozwól mi pani odejść, zaraz — zdaje mi się, że te mury zapadną na mnie i przytłoczą mnie swoim ciężarem — że dostanę tu pomieszania zmysłów! Nie ja żądam mej wolności.

— Możesz wyjść w tej chwili! Na dole czeka cię wygodny powóz — pojedziesz wprost do Wiednia... A na pamiątkę twego pobytu u nas — weź ten list, przeczytaj go po drodze!

Przełożona mówiła to spokojnie, ale w głosie jej drżała wściekłość tłumiona . Potem zadzwoniła i kazała jednej z sióstr wyprowadzić Teresę z klasztoru.

Obiedwie rozstały się bez słowa pożegnania.

Kilka minut później siedziała Teresa w wytwornej karecie podróżnej, a pocztyljon trąbił wesołego marsza wyjeżdżając z Warszawy.

W karecie paliła się mała lampa, zawieszona u góry, Teresa wyjęła więc list, otworzyła go i zaledwie kilka pierwszych przeczytała słów, głośnym wybuchnęła płaczem.

Był to list Henryka, podyktowany przez Lebela.

ROZDZIAŁ XXIII.

Opryszki w Tatrach.

W najdzikszej i najniedostępniejszej części Tatr, gdzie wysokie skały, gęste lasy i rwące strumienia nie przepuszczają ludzi — tam stał zamek hrabiego Orszańskiego.

Zamek ten wznosił się na skale, z której zachwycający, chociaż dziki, roztaczał się widok. Wysokie góry, śniegiem pokryte, lasy, rzeki — wszystko to leżało u stóp wyniosłej skały, a zamek stał dumny, jak gdyby był panem całej tej okolicy. W dolinie widać było małe wioski, pojedyń-

cze domy, chaty i gdzie niegdzie wieżę kościoła. Pola nie były tu jeszcze uprawiane, ludność dolin inne miała zajęcie.

U podnóża skały zamkowej otwierała się straszna przepaść — wyglądała ona tak, jak gdyby pozostała nietkniętą z czasów po potopie, jak gdyby nigdy ludzka stopa nie była jej ruszyła.

Olbrzymi las jodłowy wznosił się na dole — ogromne skały sterczały pomiędzy drzewami — zapewne wichry tam je z gór zrzuciły. Bystre strumienie szumiały płynąc ze skał i tworząc dzikie wodospady, a w tych lasach i skałach mieszkało mnóstwo dzikich zwierząt, jako to niedźwiedzi, wilków, rysiów, i nawet jadowite żmije ukazywały się często.

Ale nad tą przepaścią unosiły się nocami na wiosnę i jesień gęste mgły, przepełnione niezdrowemi wyziewami — dla tego też nazwano je śmiertelnemi. Biada temu, kto za długo oddychał „mgłą śmierci“ — dla niego już ratunku nie było. — Z tego powodu unikała ludność tę okolicę i najbliższa wioska była od zamku o dwie godziny drogi oddalona.

Wioska ta składała się z mniej więcej ośmdziesięciu nędznych chat, przylepionych do skał jak gniazda jaskółcze, a w nich mieszkali bardzo biedni ludzie, tak biedni, że o polepszeniu losu wcale już nie myśleli. I ta nędza wywoływała u nich pewną dzikość charakteru. Przed ośmiu laty był tu jeszcze ksiądz, który miał trochę wpływu na swoich parafian, ale po jego śmierci nie przysłał ani rząd, ani arcybiskup następcy. Widocznie zapomniano o wsi Horce, a mieszkańcy też się o księdza nie upominali.

Nie można niestety zaprzeczyć, że Horczanie bardzo grzecznymi byli ludźmi. Roli mieli nie wiele, i tak trudną była jej uprawa, że nie byliby się mogli z rolnictwa wyżywić, a że każdy chce i musi jeść, przeto poszukali sobie innego zarobku, łatwiejszego i pewniejszego.

Horczanie byli przemytnikami, i nie można im się nawet było dziwić. Nikt ich od złego nie powstrzymywał, a głodu nie chcieli znosić. Sposobności zaś mieli tyle, że byliby sobie uważali za grzech nie korzystać z niej. Wieś Horki leżała na samej granicy Galicyi i Węgier, mniej więcej tam, gdzie z jednej strony jest Zakopane, a z drugiej Szmeks. Wówczas nie było jeszcze cło pomiędzy obydwoma państwami zniesionem i wszelkie towary, przechodzące z jednego kraju do drugiego musiały być oclone. Z jednej i drugiej strony uważano pilnie, aby rząd nie był poszkodowanym.

Każda wieśniaczka, przechodząca z koszem przez granicę, musiała poddawać się [illegible] rewizyi. Mianowicie urzędnicy węgierscy byli niezmiernie surowi, rząd bowiem wyznaczył nagrodę każdemu, któryby przemytnika schwycił.

Horczanie przenosili więc towary potajemnie przez granicę, w ciemnych, burzliwych nocach i zawiejach śnieżnych. Podczas kiedy inni w takiej zawieji najchętniej w ciepłej izbie siedzieli, szli oni, obarczeni ciężarami przez skały i lasy, przenosząc zboże, tabakę i rozmaite inne towary.

Wiedzieli, że postępują źle i nieuczciwie, ale mój Boże! Rząd miał dosyć pieniędzy, a oni też żyć chcieli.

I że oprócz przemytnictwa jeszcze się kłusownictwu oddawali, to także było jasnem. Jedno z drugiem idzie w parze. Chodzili nocami po lasach ze strzelbami i zapuszczali się nawet pod sam zamek, goniąc zwierzynę. A jak obfite były tam łowy! Od pięciu lat przeszło nikt jednego nie zastrzelił lisa, nic więc dziwnego, że lasy przepełnione były zwierzętami.

Takiemi to grzesznikami byli Horczanie.

O posiadłość Henryka nikt się bardzo nie troszczył, stary ogrodowy, który miał zamku pilnować był chory i stary, to też mieszkańcy Horki gospodarowali w lasach jego, jak we własnych. Henryk wiedział, że wielkiego zysku z tego mieć nie może, więc im też niczego nie bronił. Kilka drzew albo kilka saren nie zubożyło go ani zbogaciło. Niech tam biedni mają kawałek mięsa i trochę opału w zimie.

Horczanie polowali więc w jego lasach, wycinali drzewo, paśli bydło na jego łąkach, lecz nie odważyli się nigdy wejść do zamku. Nietylko mężczyźni, ale i kobiety i dzieci omijali go zdaleka.

Powodem tego były może przesądy albo też i pewne uszanowanie. Nic bowiem nie byłoby łatwiejszego, jak wtargnąć do wnętrza ogromnego tego gmachu. Wystarczało wybić szybę, a ogrodowy zbyt był słaby, aby stawić jakiś opór.

Złodzieje nie wiele byliby w zamku znaleźli. Trochę starych mebli — więcej nic tu nie było, żadnych kosztowności, żadnych przedmiotów sztuki! Ani srebrnych naczyń, ani starożytnej broni, ani kryształów weneckich — jednem słowem — nic. Nawet nie wszystkie pokoje były umeblowane.

Zamek był ruiną w całem znaczeniu tego słowa, i patrząc na niego z gór można było przypuszczać, że każdej chwili runie w przepaść.

Boczne skrzydła zamku były już zupełnie zapadłe — jeszcze tylko część środkowa o dwóch piętrach i okrągłej wieży trzymała się dosyć dobrze. Równie dobrze wyglądał dziedziniec zamkowy, otoczony wysmukłemi kolumnami.

Tutaj bawił się często Henryk, będąc dzieckiem, i stąd małemi w murze drzwiczkami wybiegał do maleńkiego ogródka znajdującego się na samym wierzchołku skały.

Ogródek ten składał się z kilku klombów kwiatów, oprócz tego były w nim trzy albo cztery drzewka i kilka krzewów. Kto go założył, kto zadał sobie tyle trudu, aby na wysoką skałę wnieść ziemię i piasek dla roślin, tego nie wiadomo. W każdym razie musiał być już od wielu lat, bo w starych familijnych kronikach zamku wspominano zawsze ów ogródek.

Kiedyś panował w nim wielki porządek — dziś wszystko było w największem zaniedbaniu. Tu i owdzie kwitnęły jeszcze kwiaty, ale zielsko rozpostarło się wszędzie na dobre i przytłumiło wszelkie inne rośliny.

Ogródek był ze wszystkich stron otoczony murem inaczej można było łatwo spaść w przepaść. Ale i mur zapadał się już w kilku miejscach.

Rozkład zamku był wygodny i praktyczny.

Na samym wstępie znajdował się ogromny przedsionek, w którym się dawniej służba i giermkowie gromadzili, z obydwóch zaś stron wiodły szerokie schody na górę. Po prawej stronie leżały najpierw trzy pokoje, dobrze jeszcze umeblowane, w tych bowiem pokojach mieszkał ojciec Henryka i w jednym z nich umarł. Dalej były rozległe sale, jadalnie, galerye i kilkanaście nieco mniejszych pokoi.

W lewem, nawpół zapadłem skrzydle znajdowała się kaplica, za dziedzińcem zaś leżały stajnie i mieszkanie dla czeladzi i służby.

Sklepy także miały być dobrze zachowane, ale od niepamiętnych czasów nikt do nich nie wchodził. Ojciec Henryka okazywał zawsze nieprzezwyciężony wstręt do tych sklepów, nie zeszedł tam nigdy i zakazał surowo Henrykowi, aby nigdy do nich nie zaglądał.

— — — — — — — — — — — — —

Była to burzliwa noc jesienna, w dolinie wył przerażający wicher, jak gdyby chciał wszystkie jodły połamać. Nad lasem unosiła się gęsta mgła i drobny deszcz padał bez przestanku.

Pomimo tej niepogody stało około dwudziestu mężczyzn na zrębie lasu, przy ścieżce, wiodącej pod górę.

Każdy z nich ukrywał się jak mógł, za drzewem. Dwóch tylko wyszło śmiało na ścieżkę — obydwaj stali tam oparci na fuzyach i patrzyli na dół, jak gdyby spodziewali się ujrzeć w mgle to, co ich tu sprowadziło.

Jeden z nich miał już około lat sześćdziesiąt, był to wysoki, barczysty mężczyzna, o siwych, krótko przystrzyżonych włosach i siwej brodzie.

Był to wójt z Horki, a więc najpierwsza we wsi osobistość! Michał Kamczyk znał też swoją godność i uważał się za wysokiego urzędnika.

Towarzysz jego, młody olbrzym, był pięknym i dzielnym młodzieńcem. Ramiona jego zdawały się być z żelaza wykute, natomiast twarz, otoczona ciemnemi kędziorami, miała wyraz tak miękki i łagodny, że każda kobieta mogła mu tej twarzy pozazdrościć. Niebieskie oczy przypominały oczy dziecka.

— Opowiedz mi więc jeszcze raz coś widział i słyszał Leonie — rzekł Kamczyk do swego towarzysza. — Czy to być może? Widziałeś doprawdy karetę podróżną zbliżającą się do naszej wsi? Nie uwierzyłbym, gdyby mi to kto inny opowiadał!

— Wójcie — odpowiedział młody olbrzym, gładząc pieszczotliwie swoją fuzją — mówiłem ci, żem to widział na własne oczy, a te mnie nie mylą. O dwie mile ztąd, tam, gdzie strumień przez skałę przepływa, tam widziałem karetę. Wychodziłem właśnie z gęstwiny, tropiłem wilka...

Gdy ujrzałem powóz, stanąłem jak wryty — tak pięknych koni nie ma tu w całej okolicy. Chyba sam arcybiskup piękniejszych mieć nie może. Ani nawet król!

— Może to był arcybiskup! Może przyjeżdża do nas, aby nam znowu dać księdza!

— Nie, nie, wójcie, to nie może być, — zawołał Leon żywo. — W karecie siedziała bardzo piękna młoda kobieta i młody mężczyzna z czarnym wąsem!

— Ej, toś ty ich widział? Opisz mi ich dokładniej!

— Gdy ich ujrzałem, skryłem się znowu w gęstwinę — zaczął Leon — i tak mogłem dobrze widzieć, co się w powozie działo. Powóz stał pod górą, konie były wyprzężone i pasły się na trawie, a stangret i służący sporządzali koło, które się pewnie w drodze zepsuło. Wbijali młotkiem jakieś gwoździe....

— Wierzę, — przerwał wójt z uśmiechem, — na naszych drogach psują się koła. Szkoda, trzeba ci było poradzić temu panu, aby kazał sporządzić kowalowi w Horce. Nie bylibyśmy potrzebowali stać tu na drodze w tem piekielnem powietrzu i czekać na nich — byliby oni sami wleźli nam w sidła, i mielibyśmy bez trudu ich pieniądze.

— Tak, i ja myślałeem o tem, — odrzekł Leon, ale licho wie — gdy ów pan pomógł wysiąść z powozu tej pięknej pani, to straciłem nagle odwagę i nie śmiałem się zbliżyć. Muszą to być bardzo bogaci ludzie!

— Mieli klejnoty na sobie? — szepnął wójt, a oczy jego błysnęły chciwością, — widziałeś brylantowe pierścienie na ich palcach? Byłby doprawdy czas, aby nam się udało dostać raz coś porządnego, od pół roku nie było nic, oprócz tych kilku podróżnych, którzy prawie nic nie mieli! Na tych nie mogliśmy się zbogacić, trzeba im jeszcze było dać chleba na drogę. Ale piękny powóz, bogaty pan, kosztownie ubrana pani — to się przyda! Wiesz Leonie, napełnimy sobie troche kieszenie!

— Może być!

— Ile tam służby było? — zapytał znowu Kamczyk po chwili.

— Widziałem trzech służących, stangreta i dwóch lokaji, — odrzekł Leon. — Byli ubrani w piękne liberje, ale też wiem, kto oni są i kto jest ich pan!

— Do stu djabłów, to powiedz-że już raz wszystko, co wiesz, — krzyknął wójt niecierpliwie. — Każde słowo trzeba u ciebie kupować. Czegoś tak się nagle zamyślił?

Leon zdjął kapelusz, otarł czoło, a ręka jego drżała silnie.

— Zaraz wam powiem, wójcie, — odrzekł cicho, oglądając się, czy ukryci za drzewami towarzysze nie słyszą. — Ja nie wiem, czy to, co zamierzamy uczynić, nie jest wielkim grzechem! Zaczynam wątpić..... Nie myślcie wójcie że się boję, że jestem tchórzem — nie ma walki, którejbym się ląkł, ale zdaje mi się, że z nami nie dobry będzie koniec. Zanadto grzeszymy, i w piekle będziemy musieli za to pokutować!

Kamczyk podniósł głowę, zmarszczył czoło i spojrzał uważnie na Leona.

— Prawisz mi, jak ksiądz na ambonie, — rozśmiał się szyderczo, — a pewnie w życiu twojem jeszcze księdza nie widziałeś! Powiedz mi, w jaki sposób mamy zarabiać na życie, ty mądry człowieku! Dziękuj Bogu, że masz co jeść i pić.....

— To prawda, — przerwał Leon, — przeznaczenie dało nam złą i nieurodzajną ziemię, w tej pustyni nie można być czem innem jak opryszkiem i złodziejem, a jednak nie może mi się pomieścić w głowie, abym ja, młody i silny jak lew, nie miał już nic innego do roboty, jak napadać podróżnych w nocy!

— Dawniej nie mówiłeś tak, Leonie, — rzekł Kamczyk, kładąc mu rękę na ramieniu, — ale domyślam się, skąd wiatr wieje! Przyznaj się, że ona piękna kobieta, którą dziś zobaczyłeś, zawróciła ci w głowie!

Leon zarumienił się jak młoda dziewczyna.

— Czemu miałbym to zaprzeczyć, — szepnął, — tak, nigdy jeszcze nie widziałem tak cudnej twarzy! Włosy czarne jak heban, oczy jak dwie gwiazdy, ach wójcie! Jaka ona piękna!

— Śmieszny jesteś, mój kochany. Powiedz mi nareszcie kto to jest!

— Tego nie wiem, zdaje mi się jednak ,że to młode małżeństwo, które chce zwiedzić Tatry. Bo co nam się wydaje pustem, dzikiem i brzydkiem, to się innym właśnie tak bardzo podoba. że przyjeżdżają z dalekich stron, aby chodzić po górach i skałach! Słyszałem też jak jeden służący mówił do drugiego:

— Szkoda koni naszego pana. One się zmarnują na tych drogach. Gdyby to stary Lebel wiedział, nie mógłby spać z żalu — on ma miljony, ale jak ma co kupić, to pieniędzy nie chce wydać, już to zawsze co żyd, to żyd!

— Co ty mówisz! — krzyknął wójt! Żyd Lebel? Jego ekwipaż? Leonie, toć to sekretarz Wielkiego Księcia Konstantego, namiestnika Polski!

— Tem gorzej dla nas, — rzekł Leon. — Nie powinniśmy go napadać, bo on będzie nas tak długo prześladować, aż nas wszystkich wytępi.

— A on to może. Jeżeli jednak żaden z nas nie jest zdrajcą, to się nikt nie dowie, kto go napadł! Mam nadzieję, że pomiędzy nami nie ma zdrajcy! Gdybym miał najmniejsze na kogoś podejrzenie, człowiek ten nie żyłby w przeciągu godziny!

W tejże chwili zamigotały w dali światła powozu.

W gęstej mgle wydawała się kareta jakimś olbrzymim potworem z palącemi oczami, zbliżającym się wolno ku lasowi. Był to widok godny pędzla malarza. Powóz w mgle, ogromny, odwieczny las i opryszki ukryci za drzewami z fuzjami w rękach.

— Uważaj, — szepnął Kamczyk Leonowi, stojącemu tuż obok niego,—powiem ci teraz, w jaki sposób zabierzemy się do roboty. Gdy powóz będzie do nas na dziesięć kroków zbliżony, wtedy wyskoczymy na drogę i każemy stangretowi stanąć. Jeżeli usłucha — dobrze, jeżeli nie, no, to jego wina, ale trzeba go poczęstować kulką. Lokaje uciekną, w przeciwnym razie powiążemy ich, albo zastrzelimy stósownie do tego, jak się zachowywać będą.. Reszta znajdzie się potem!

Leon milczał, ale twarz jego zachmurzyła się.

— Wójcie, — prosił cicho, patrząc na zbliżający się powóz, — byłoby doprawdy lepiej, gdyby się obeszło bez rozlewu krwi.

— Czy ty myślisz, że ja przelewam ludzką krew dla mojej przyjemności? O nie, ja wiem, co znaczy życie człowieka i jeżeli nie potrzeba, nie zabijam nigdy! Ale nie możemy pozwolić na to, aby uciekł i sprowadził nam potem żandarmów na kark. Bylibyśmy wszyscy zgubieni! Cicho — powóz nadjeżdża.....

Ekwipaż zbliżał się rzeczywiście.

Stangret wesoło trzaskał biczem, konie potrząsały srebrną uprzężą i szły wolno pod górę. Chociaż powóz doskonale był zbudowany i angielskie miał sprężyny, to jednak przechylał się raz na tę, raz na drugą stronę, tak droga była tu nierówna.

Jeszcze tylko kilka kroków.....

— Teraz! — szepnął Kamczyk i wyskoczył z za drzewa.

Leon biegł za nim.

— Stój! — szepnął Kamczyk, — stój albo strzelę!

— Zbójcy! Zbójcy!

Stangret podniósł bat, służący zaś, siedzący obok niego wyciągnął pistolet.

— Precz, włóczęgi, — krzyknął, — my się takich jak wy nie boimy!

Ale teraz padł strzał, i lokaj śmiertelnie ugodzony stoczył się pod koła powozu.

W karecie dał się słyszeć głośny krzyk przerażenia i trwogi i cichy głos męzki.

W następnej chwili spuszczono okno, Henryk wychylił głowę i rzekł spokojnie ale rozkazująco:

— Nie strzelajcie! Ja się z wami rozmówię!

Rozkaz ten jednak przyszedł za późno, stangret bowiem, oburzony do żywego śmiercią lokaja, zeskoczył z kozła, za nim drugi służący, i obydwaj zaczęli strzelać do opryszków. Kula przeszyła kapelusz Kamczyka i zrzuciła mu go z głowy, on jednak ranionym nie był.

— Leonie, — krzyknął Kamczyk, — weź ty tego lokaja, ja się z stagretem załatwię!

Dwa strzały równocześnie i dwa trupy leżały na ziemi. Ciało stangreta zostało na drodze, podczas kiedy ciało lokaja, stojącego nieco dalej, spadło z okropnym łoskotem w głęboką przepaść.

Cała droga zapełniła się teraz opryszkami.

Kilku z nich otoczyło powóz, inni trzymali konie, przerażone strzałami, wójt zaś otworzył drzwi karety.

— Wysiadać! — rzekł krótko

Heuryk wyskoczył pierwszy i pomógł Lei, która na wpół martwą była ze strachu. Ale zamiast przytulić się do męża i szukać u niego opieki, stanęła za nim, jak gdyby nie śmiała zbliżyć się do niego.

Kamczyk patrzał uważnie na twarze podróżnych, ale dla ciemności nie mógł ich dojrzeć. Henryk miał zresztą kapelusz nasunięty na czoło, Lea cała była okrytą długim, czarnym płaszczem.

— Poddaj się pan, — rzekł Kamczyk rozkazująco, — nie myśl o operze — służba twoja zabita, i ciebie i twoją towarzyszkę czeka to samo, jeśli nie wypełnicie naszych życzeń.

— Czegoż chcecie od nas? — rzekł Henryk spokojnie.

— Czego chcemy? Sądzę, że powinieneś pan się tego domyśleć! Patrz, jest nas tu dwudziestu, uciekać więc nie możecie. Nikt wam tu na pomoc nie przyjdzie, więc...

— Jednem słowem, — przerwał Henryk, — zamierzacie nas obrabować. Nieprawdaż?

Wójt wzruszył ramionami, podczas kiedy Leon mimowoli spuścił oczy.

— Jesteśmy bardzo biedni, — tłomaczył się Kamczyk — i bieda tylko popycha nas do złego. Wolelibyśmy być uczciwymi ludźmi i zarabiać w pocie czoła na kawałek chleba, ale to jest tutaj niemożliwem. Ziemia nic nam nie daje, chociażbyśmy potem naszym zwilżyli, rzemiosło też nic nie przynosi, bydło trawy niema! Świat o nas zapomniał, księdza nam nie dali — cóż nam pozostaje innego, jak napadać podróżnych i zabierać im pieniądze?

Henryk zmieszał się. Słowa Kamczyka bardzo go boleśnie dotknęły.

— A nie macie pana, — szepnął drżącym głosem — któryby się o was troszczył, wam radził, czy nie ma tu dworu, w którym mieszka dziedzic?

— Dwór! — zawołał wójt, śmiejąc się szyderczo — o, [illegible] zamek! Patrz pan, — i wskazał ręką na zamek, oblany promieniami księżyca. — Ale tam nie ma dziedzica, tylko stary ogrodowy pilnuje gruzów. Nasz pan, zamiast pilnować domu i zająć się nami, bawi się wesoło w Wiedniu. Jest to marnotrawca, jakich mało, zmarnował ogromny majątek po ojcu, rzucał krocie na ulicę, fałszywi przyjaciele zabrali mu wszystko, co się dało, a nam pozwala umierać z głodu!

— Nienawidzicie pewnie waszego pana! — rzekł Henryk cicho.

— O nie, nie ma tu żadnego pomiędzy nami, któryby go nienawidził. Jako chłopiec żył on z nami i my wszyscy przepadaliśmy za nim. Był to dobry, szlachetny młodzieniec. Ale pieniądze zawróciły mu potem w głowie, i zmieniły jego serce, inaczej nie byłby o nas zapomniał.

— A gdyby dziś tu wrócił?

— Ach, gdyby wrócił, nie robilibyśmy mu żadnych zarzutów, chociażby był żebrakiem, przyjęlibyśmy go z otwartemi ramionami!

Henryk wyjął woreczek z pieniędzmi i rzucił go Kamczykowi.

— Czekaliście tu na mnie, na drodze, — rzekł głośno, — aby mi zabrać wszystko — daję wam zatem pieniądze dobrowolnie i przysięgam, że nie mam już ani grosza przy sobie. Podzielcie się tem!

Wójt jednak nie otwierał sakiewki — wpatrywał się on ciągle w Henryka i teraz jeszcze więcej zbliżył się do niego.

— Nie wiem, co to znaczy, — ale ja bym nie chciał przyjmować tych pieniędzy. Zdaje mi się, że ja pana nie poraz pierwszy dziś widzę — że raz już spotkałem cię, a jednak to być nie może!

— A jednak tak jest, Michale Kamczyku, — zawołał Henryk. — Nie poznajesz mnie?

Wójt cofnął się przerażony. Leonowi zaś fuzya z ręki wypadła.

— Pan mnie zna! — zawołał Kamczyk ochrypłym głosem — słyszałem moje nazwisko, — Boże — kto pan jesteś?

— Kto jestem?

Henryk zrzucił kapelusz i spuścił kołnierz płaszcza.

— Kto jestem? powtórzył. — Nie poznajecie mnie doprawdy moi przyjaciele? Patrzcie na mnie! Ja jestem wasz pan, który lekkomyślnie wszystko stracił, o was zapomniał i teraz z pokorą do was powraca! Znaliście mnie dzieckiem, jako dojrzały człowiek staję tu przed wami! Ja jestem hrabia Henryk Orszański!

Wójt i Leon rzucili się na kolana.

Przez chwilę głuche zapanowało milczenie.

Horczanie stali, słuchali, patrzyli i zdawało im się, że śnią.

Pierwszy Kamczyk odzyskał przytomność.

— Boże mój! — zawołał, — co myśmy uczynili! My nieszczęśliwi! Chcieliśmy obrabować własnego pana, służących jego zabiliśmy! Ach, ta ciemność przeklęta! Inaczej byłbym przecież poznał naszego pana!

Henryk podał mu rękę.

— Wstań, Michale, — rzekł serdecznie, — ja ci wybaczam z całego serca! I tobie także, — dodał, zwracając się do Leona. Jak ci imie, mój chopcze?

— Leon.

— Jesteś zapewne ogromnie silny, możebyś... Ale o tem później.

Wójt nie mógł się długo uspokoić. Henryk poznał dużo z swoich dawniejszych znajomych, do każdego z nich przemówił kilka uprzejmych słów, a wójt stał ciągle jeszcze na tem samem miejscu, patrzał na Henryka i powtarzał nieustannie:

— Gdzie ja oczy miałem, że go zaraz nie poznałem! Nasz pan! Nasz pan!

Leon milczał, zapatrzony w Leę, która oparta o powóz ani jednego dotąd jeszcze nie wymówiła słowa.

Ale w duszy jej sprzeczne walczyły uczucia.

— Jak oni go wszyscy kochają — myślała — nawet ci biedni, nieszczęśliwi! I ja nieszczęśliwa kocham go także, a on...

— Jaśnie panie, — odezwał się teraz wójt, — zdaje mi się, że jaśnie pan przywiózł nam też panią!

— Tak, — to moja żona, — odrzekł Henryk obojetnie. — Odtąd razem mieszkać będziemy w zamku!

— Ach, jeszcze pan chce u nas pozostać?

— Na zawsze!

— Dzięki Bogu!

— Słuchajcie, — rzekł Henryk poważnie, — słuchajcie wszyscy, mam wam coś do powiedzenia!

Wieśniacy otoczyli go natychmiast, na twarzach ich widoczną była wielka ciekawość.

— Moi drodzy przyjaciele, — zaczął Henryk, — nikt nas tu podsłuchiwać nie może, dlatego powiem wam zaraz, po co do was wróciłem. Znaliście mnie niegdyś jako wesołego, swobodnego chłopca. Dziś jestem prawie żebrakiem — całym moim majątkiem jest ten na wpół zapadły zamek. Strwoniłem miliony — nie mam przyjaciela — wszyscy mnie opuścili, gdy już nie miałem pieniędzy. Ludzie przestali mnie nawet szanować, i będąc zmuszonym do ożenienia się, — dodał, wskazując na śmiertelnie bladą Leę, — straciłem ostatnie serce na świecie. które mnie kochało. I teraz pytam was: chcecie mnie przyjąć do waszego grona? Chcecie, abym z wami został?

— Niech jaśnie pan weźmie serce moje, — krzyknął Kamczyk, — jeżeli się na co przyda!

— *Nie opuścimy naszego pana, — krzyknęli wszyscy jednogłośnie, — żyć i umierać będziemy z nim razem!*

— Niech żyje hrabia!

— Niech żyje nasz pan!

— Jeszcze nie skończyłem, — rzekł Henryk znowu, gdy się krzyki nieco uciszyły. — Chociaż majątku nie przynoszę z sobą, jednak mam coś, co nam wszystkim złote otworzy wrota, to jest: rozpacz! Z rozpaczy powstaje odwaga bohaterów! Nie mieliście co jeść i pić, chaty wasze zapadają wam się nad głowami, nie macie ubrania dla waszych żon i dzieci — od dziś zmieni się to wszystko! Szczęśliwe, wesołe dni wrócą znowu, będziecie mieć kieszenie wypchane pieniędzmi, będziecie tańczyć i śpiewać — ja, hrabia Orszański przyrzekam wam to! Przynoszę wam moje silne ręce, odwagę i rozwagę!

Wieśniacy zaczęli się domyślać, o co chodzi.

— Ach, — szepnął Kamczyk, ściskając kurczowo rękę Leona, — gdyby to było możliwem, gdyby on — chciał — wtedy nie byłoby piękniejszej miejscowości na świecie, jak nasza Horka!

— Przyjaciele, — mówił Henryk dalej, — okradaliście i rabowaliście, ale były to tylko drobnostki. Nie macie pojęcia, ile zarobić można, uprawiając zawód opryszka na wielką stopę! Zostaniecie panami dróg, flinty wasze nie zardzewieją, ale musicie stać się wielkimi panami, przed którymi ludzie drżeć będą ze strachu! W całem

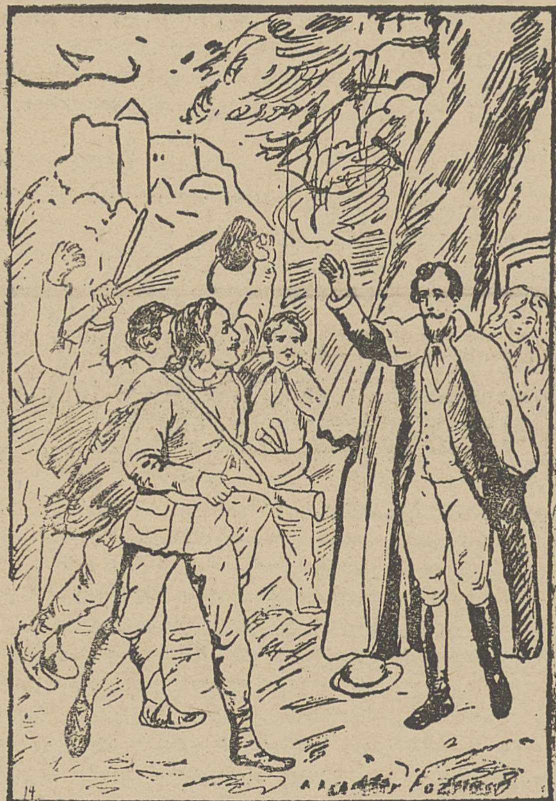
mństwie musi zabrzmieć groza waszego imienia! Opryszki strzańskie! Ja będę waszym dowódzcą!

— Nasz dowódzca! — krzyknęli znowu Horczanie. — Słyszeliście bracia? Nie będziemy już bez pana!

— Niech żyje nasz dowódzca!

—Niech żyje nasz kapitan! — krzyknął Leon.

— Tak, tak, kapitan! Niech żyje!



Nie opuścimy naszego Pana, — krzyknęli wszyscy jednogłośnie, — żyć i umierać będziemy z nim razem!

— Podajcie mi rękę, jeden po drugim, — rzekł Henryk. — Będę wam wiernym aż do ostatniej chwili mego życia, przysięgam wam to na Boga, który ze smutkiem patrzy na swych zgubionych synów. Ale każdy z was musi mi także być posłusznym — nie znoszę najmniejszego oporu — moje słowo musi być dla was rozkazem. Tylko wtenczas, jeżeli wszyscy jednego słuchają, można utworzyć spółkę opryszków i szydzić z żandarmów i żołnierzy!

— *Będziemy ci posłuszni kapitanie, — zawołał Kamczyk, — a ja jestem pierwszym który ci przysięga wierność aż do grobu, aż do ostatniego tchnienia.*

— Przysięgamy wierność aż do grobu, — powtórzyli Horczanie uroczyście.

Leon także podał rękę hrabiemu.

Cieszył on się tak jak inni z tego, że Henryk został ich kapitanem, ale głównie uszczęśliwiało go to, że odtąd będzie częściej widywał Leę.

— Więc związek nasz zawarty, — zawołał teraz Henryk. — Nie potrzebuję pewnie dodawać, że najpodlejszym z ludzi jest ten, który zdradza swego kapitana i swoich towarzyszy. Biada zdrajcy! Gdyby który z was miał być do tego stopnia nikczemnym, to śmiercią zostanie ukarany!

— Śmierć zdrajcy, — krzyknął Leon. — Przysięgam, że kto zdradzi naszego kapitana lub jednego z nas, ja sam go, własnemi zabiję rękami!

— Słuchajcie bracia, — rzekł Henryk po chwili, — dziś bardzo już późno, jutro rozmówimy się obszerniej o wszystkiem. I potem zaraz, bez wahania, udamy się na pierwszą wyprawę!

Horczanie nie posiadali się z radości.

Henryk zbliżył się do Lei. Śmiertelna bladość pokrywała twarze obojga.

— Leo, — rzekł szorstko, — Leo.....

— Czego chcesz? — zapytała spuszczając oczy.

— Słyszałaś wszystko — umyślnie tak urządziłem — miałaś wiedzieć, jak rzeczy stoją! Zostałaś moją żoną, bo musiałem inną ratować, czuję litość nad tobą....

Lea drżała tak, że musiała się oprzeć o powóz.

— Ja cię nie kocham, Leo, — rzekł Henryk.

— Wiem o tem!

— I wiesz także, jaka cię tu przyszłość czeka. Tam na tej górze, w zapadłym zamku, musisz mieszkać ze mną. Będziesz żoną bandyty i muszę ci wyznać, że to bardzo niebezpieczne!

— Ja się niczego nie boję!

— Mówisz tak, bo nie wiesz, co ci grozi. Radziłbym ci szczerze wrócić do brata! Masz wszelkie prawo opuszczenia mnie. Myślałaś, że zostajesz żoną człowieka uczciwego, tymczasem zaślubiłaś rozbójnika — może nawet mordercę! Patrz, tu stoi powóz, konie zaprzężone — jeden z moich ludzi odwiezie cię do Warszawy. Wróć Leo do brata, do wygodnego życia i do zbytków, do jakich jesteś przyzwyczajoną!

— Namyślę się, — rzekła ,— daj mi pół minuty czasu!

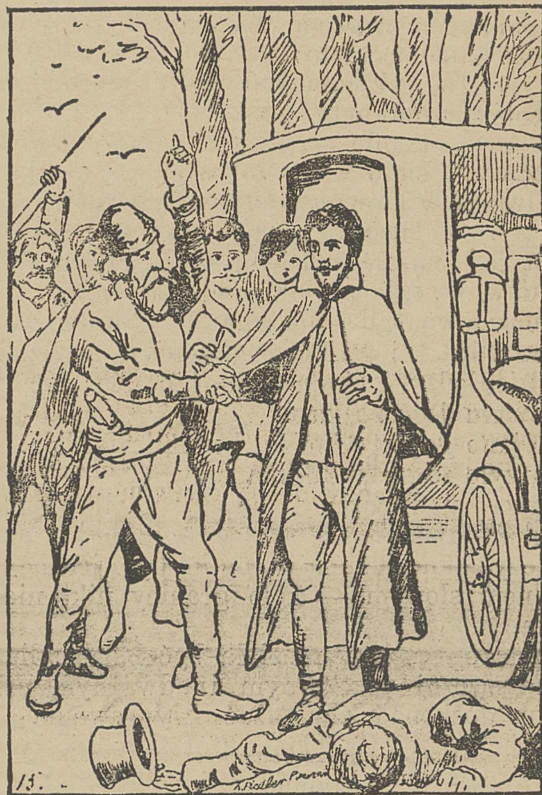
Henryk skinął głową, a twarz jego rozjaśniła się trochę nadzieją.....

Lea tymczasem zbliżyła się do koni .Białą ręką swoją pogłaskała lśniącą szyję jednego z nich, ale w następnej chwili wyciągła ostry sztylecik z kieszeni i silnem uderzeniem przecięła główną żyłę konia.

Jak piorunem rażone upadło biedne zwierze na ziemię.

— Co robisz, na Boga? — krzyknął Henryk przerażony.

Lecz zanim zdążył wyrwać jej broń z dłoni, leżał już drugi koń martwy na ziemi.



Będziemy ci posłuszni kapitanie, zawołał Kamczyk, — a ja jestem pierwszym, który ci przysięga wierność aż do grobu, aż do ostatniego tchnienia.

— Co to znaczy, czyś rozum straciła?

— Nie, bynajmniej. Odeślij mnie teraz do domu, — rzekła spokojnie .— Pieszo pewnie iść nie mogę, bo za daleko! Tego nawet i ty byś nie żądał!

Henryk wzruszył ramionami i spojrzał z żalem na piękne rumaki, z których krew lała się strumieniem.

— Więc chcesz koniecznie zostać, — rzekł. — Dobrze, zostań. masz prawo do tego, a prawa twoje będą mi zawsze świętemi! Ale nie uskarżaj się nigdy, jeżeli ujrzysz coś takiego, co cię zgrozą przejmować będzie! Nie zarzucaj mi nigdy, że cię wciągnąłem do mego awanturniczego życia, bo powtarzam ci raz jeszcze: ja jestem rozbójnikiem, ty zaś jesteś żoną rozbójnika!

— Żoną rozbójnika! — zawołała Lea, a w głosie jej brzmiał najwyższy zachwyt. — Ależ ja jestem dumną z tego, i żaden bandyta nie miał i nie będzie miał wierniejszej towarzyszki, jak ty!

I ująwszy ręce jego, przycisnęła je do ust.

— Nie posiadam twego serca, wiem o tem, — szepnęła, — oddałeś je tej innej — Teresie Krones, ale mnie wolno narażać się z tobą na niebezpieczeństwa! Nie wiem, która z nas najlepszą cześć wybrała! Mnie się zdaje że ja!

Henryk nie lubił uniesień Lei i niechętny odwrócił się od niej. Ach te więzy, jakiemi się spętać pozwolił! Czuł on, że nigdy nie zdoła ich zerwać! —

A przecież żal mu jej było. Miłość bez wzajemności, to piekło na ziemi!

— Odprzążcie konie, — rozkazał Henryk, — trzeba nam będzie iść pieszo. Niech jeden z was weźmie lampkę z karety i świeci nam troche na drodze. Podaj mi rękę Leo.

— Nie, panie hrabio, — zawołał wójt, — nie pozwolimy na to, aby nasz kapitan szedł pieszo do swego domu. Siadajcie państwo do powozu! Szkoda tych pięknych koni, ale damy wam za nie dwadzieścia innych!

— To wy tyle koni macie?

— Tak!

Leon otworzył drzwiczki karety i Henryk i Lea usiedli na miękkich, jedwabnych poduszkach. Kilka minut później ruszono z miejsca, a gdy się Henryk wychylił oknem zauważył, że nie dwadzieścia koni, tylko dwudziestu jego opryszków ciągnęło powóz pod górę.

Wyżej i wyżej wiodła droga do zamku, coraz wolniej posuwał się ciężki powóz. Ale nareszcie stanęli wszyscy szczęśliwie na miejscu.

— Jesteśmy w domu! — rzekł Henryk do żony.

ROZDZIAŁ XXIV.

Z kamerdynera na milionera.

Trzy miesiące minęły od owego dnia, a to, co Henryk powiedział swoim towarzyszom, co im przyrzekł, spełniło się zupełnie. W całej okolicy, wzdłuż granicy galicyjsko-austryackiej nie mówiono o niczem innem, jak o rozbójnikach tatrzańskich. Była to zagadkowa jakaś, tajemnicza bardzo banda, która okropnemi wsławiła się już czynami, pracując zawsze z nadzwyczajnem szczęściem i nadzwyczajnem powodzeniem.

Od trzech miesięcy dziwne się tu rzeczy działy, takie, o jakich dawniej nikomu się nawet nie śniło.

Zamożne dwory napadano i rabowano, dziedziców wyciągano z łóżek i pod groźbą śmierci zmuszano do wydawania pieniędzy, i biada temu, kto się nie pospieszył z wykonaniem jego rozkazu.

Zabijano go natychmiast bez miłosierdzia.

Zdarzyło to się już kilka razy.

Bogaci podróżujący, którzy mieli własne powozy, bywali także napadani na drodze, we dnie i w nocy. Każdy musiał złożyć okup, potem wolno im było jechać dalej.

Jednem słowem — koło granicy nikt nie był pewnym życia.

Banda opryszków musiała być bardzo liczną, a kapitan nadzwyczaj przezornym i odważnym człowiekiem, umiejącym doskonale zarządzać wyprawami. Opryszki byli zarazem przemytnikami, którzy w niesłychanie zręczny sposób przenosili towary z jednego kraju do drugiego. Pomimo nadludzkich prawie usiłowań węgierskich urzędników, nie udało im się jeszcze dotąd ani jednego pochwycić przemytnika.

Rząd austryacki wyznaczył nagrody, ale daremnie.

Gdyby było chodziło o napadanie i rabowanie osób prywatnych, to rząd nie byłby się tak bardzo o to troszczył. Ale że przemytnicy krzywdzili skarb państwa o tysiące, przeto zameldowano całą sprawę do Wiednia, i ztamtąd też wysłano natychmiast cesarskiego komisarza na granicę, aby jaknajprędzej rzecz zbadał i wszędzie porządek zaprowadził. Tylko energiczny człowiek mógł to załatwić.

I komisarz był energiczny.

— To tylko niedbalstwo niższych urzędników winne, — mówił do swoich kolegów, — inaczej przemytnictwo nie mogłoby przybrać takich rozmiarów. Gdyby każdy z nich wypełniał swój obowiązek, to coś podobnego nie byłoby wcale możliwem!

I pewnego dnia wpadł jak piorun do domu, w którym mieszkali urzędnicy cła, wyzwał wszystkich klął straszliwie, aż się domy muru trzęsły i w końcu ofiarował się sam do schwytania przemytników w najkrótszym czasie.

Ale gdy po upływie czterech tygodni nie udało mu się zdaleka nawet zobaczyć przemytnika, pomimo, że całemi nocami biegał po lasach i porządnego nabawił się kataru, musiał wrócić do Wiednia.

A gdy go minister zapytał, co zdziałał przez czas swego pobytu nad granicą, odrzekł z wielką pewnością siebie:

— Stwierdziłem, że z Galicyi dużo chodzi przemytników do Węgier ale to nic nie szkodzi, my przez to żadnej nie ponosimy straty. Z Węgier do Galicyi nie przenoszą nic — bo przemytnicy dobrze wiedzą, że my bardzo czujni jesteśmy.

Potem poprosił o czterotygodniowy urlop, aby się położyć do łóżka i z kataru wyleczyć!

W głębi duszy przysiągł sobie uroczyście, że ani sto koni nie zaciągnie go już do tej obrzydłej miejscowości. I tak nie przeszkadzano przemytnikom zanadto, i Bóg wie, jak bardzo byliby się rozpanoszyli, gdyby nie pewien młody urzędnik, którego stosunki te niezmiernie gniewały i oburzały.

Młody ten człowiek nazywał się Franciszek Wessely i tylko smutne stosunki familijne zmusiły go do obrania karjery celnika granicznego.

Wessely bowiem pochodził z starej szlacheckiej rodziny i był oficerem. Służył w Wiedniu i przepowiadano mu świetną przyszłość! Był on nadzwyczaj wykształconym, znał języki ale na nieszczęście nie był synem bogatych rodziców. I podczas kiedy jego towarzysze wysokie z domu otrzymywali dokładki, musiał Wessely w inny sposób podwyższyć swoje szczupłe dochody, aby więc zarabiać troche pieniędzy, dawał potajemnie lekcye prywatne w języku francuzkim, włoskim, w matematyce i na fortepianie.

Do jego uczennic należała także córka człowieka, o którym już w toku naszego opowiadania wspominaliśmy, chociaż nie bardzo zaszczytnie.

Wolf, dawniejszy kamerdyner Henryka, umiał tak wyzyskać lekkomyślność i łatwowierność swego pana, że gdy Henryk stracił wszystko co do grosza, miał Wolf już spory majątek. Chcąc sobie teraz już wypocząć, dał pieniądze na procent, zatrzymał sobie jednak tyle jeszcze, że tu i owdzie pożyczał mniejsze sumy na ogromne procenta. Był to jego poboczny dochód i małe zajęcie, służyć bowiem nie chciał. Po co być służącym, jeżeli można być panem! Dosyć długo słuchał wskazówek, teraz i on rozkazywać będzie!

Urządził więc dom swój w Wiedniu bardzo wytwornie, i zamieszkiwał całe pierwsze piętro, podczas kiedy dwa drugie piętra wydzierżawiał za wysoką cenę. Dla siebie miał dziesięć pokoi — było to za wiele dla pojedyńczej osoby, bo Wolf nie miał, jak się zdawało, ani żony, ani dzieci.

Służba jego składała się z starej kucharki i lokaja, których znalazł gdzieś na ulicy, i oboje ci ludzie, nie chcąc wracać do dawniejszej nędzy, znosili cierpliwie jego złość i wypełniali na oślep jego rozkazy.

Z początku czuł się Wolf bardzo szczęśliwym. Spał długo, jadł dobrze, wychodził na przechadzkę, wieczory zaś przepędzał w ogródkowych teatrzykach. Chociaż staro wyglądał, to przecież starym jeszcze wcale nie był, nie miał bowiem więcej jak czterdzieści i pięć lat. Najwięcej szpeciła go ruda peruka, własnych włosów nie miał niestety i liczne zmarszczki na twarzy, nadające mu pozór starości.

Pomimo wygodnego życia nudził się Wolf. Nie miał on żadnego przyjaciela i nie chciał go też mieć, widział bowiem u hrabiego Orszańskiego, co znaczą przyjaciele. Gdy kto posiada majątek, ten powinien unikać ludzi, każdy spekuluje na pełną sakiewkę i udaje serdeczną przyjaźń.

Nie trwało długo, a przechadzki i teatra znudziły się Wolfowi tak, że przez kilka dni nie wychodził z domu. Potem kupił sobie ekwipaż i jeździł po mieście, ale i ta przyjemność nie długo bawiła kapryśnego bogacza.

Co u licha — tyle przecież miał pieniędzy, a jednak nie czuł się szczęśliwym!

Czego więc chciał jeszcze? Miał wspaniale urządzone mieszkanie, mógł każdej chwili otworzyć szafę i liczyć pieniądze, układać złoto, banknoty — ach, jakie to przyjemne zajęcie!

Mógł też przeglądać weksle i rozważać, kto nie zapłaci na czas, kogo trzeba będzie fantować, i ostatecznie mógł patrzeć oknem i myśleć sobie:

— Ah, czem wy jesteście? Żebrakami w porównaniu do mnie! Kto nie ma miljona, ten jest niczem! Ja mam miljon! Ja go mam!

Ale to wszystko nudziło go niezmiernie.

Czegoś nie miał, czegoś brakło mu do szczęścia nie wiedział tylko czego!

Nareszcie, pewnego dnia poznał, za czem tęsknił, czego mu koniecznie było trzeba!

Rzecz ta miała się jak następuje:

Wolf przechadzał się po Praterze — żałując bowiem koni i powozu, nie wyjeżdżał teraz prawie nigdy, i gdy się zmęczył, usiadł na ławkę blizko rzeki. Na tej samej ławce siedział jakiś dobrze ubrany mężczyzna, nie musiał więc być ubogim, ale nieszczęśliwy ten był niewidomym.

Obok niego stała młoda, czternastoletnia mniej więcej dziewczynka w białej sukience, śliczna jak poranek majowy. Była to wnuczka niewidomego i rzeczywiście wzruszającą była troskliwość, jaką okazywała biednemu dziadkowi. Opowiadała mu, jak pięknemi są drzewa w parku, jak chmurki przesuwają się po niebie, potem nakryła kolana jego ciepłą derką i w końcu przygotowała mu starannie śniadanie, przywiezione w koszyku.

Wolf zerwał się nagle i jak strzała biegł do domu.

— Takiej dziewczynki mi brak, — myślał, — takiego młodego stworzenia, któreby mi życie uprzyjemniło! Co ja zrobię, gdy kiedyś będę starym i chorym, kto mnie będzie pielęgnował? Moja kucharka? Ach, ona by mnie okradła z wszystkiego, co mam! Albo mój lokaj? Ten jeszcze gorszy! Nie, dziecka pragnę, córeczki, którąby mnie kochała, która by się o mnie też tak troszczyła, jak owa dziewczynka! W moim wytwornie urządzonym domu była dotąd zima, ale teraz wiosna zapanuje!

I Wolf postanowił nieodwołalnie postarać się o wiosnę, był zaś tak szczęśliwym, że mógł to uczynić.

Przypomniały mu się dawne lata!

Miał on naówczas dwadzieścia i sześć lat i służył na wsi, a chociaż i wtenczas już pięknym nie był, to jednak podobał się dziewczętom wiejskim, bo udawał zawsze pana, i nie szczędził komplementów i tanich podarunków.

Razem z nim służyła we dworze Hanusia, oprzętarka, której obowiązkiem było wynosić trzodzie żywność i wypędzać ją raz po raz na pole. Ale była to najpiękniejsza ze wsi dziewczyna, świeża, rumiana, zawsze wesoła i śpiewająca. To też chłopcy szalały za nią.

Nawet Wolfowi podobała się Hanusia.

Historja tej miłości krótką była i smutną, jak zwykle.

Hanusia ufała Wolfowi a on oszukał ją i zwiódł. O ożenku ani słuchać nie chciał, pomimo, że jej to święcie przyrzekał. Jakżeby on, pan Wolf, miał się żenić z prostą oprzętarką! Sam honor, taki, jak on go miał, nie pozwalał mu na to.

Hanusia płakała, groziła mu, błagała o litość — wszystko daremnie, Wolf pozostał niewzruszony.

I wszystko skończyło się na tem, że nieszczęśliwa Hanusia powiła córkę i umarła ,jak ludzie mówili, z rozpaczy, i tego samego dnia ochrzcono dziecko imieniem matki.

W dzień pogrzebu Hanusi spotkała Wolfa wielka nieprzyjemność.

Gdy wieczorem wracał z karczmy, gdzie codziennie grał z znajomymi w karty, napadło go na drodze sześciu silnych chłopaków, o pomurzonych sadzami twarzach i zbiło niemiłosiernie.

Na drugi dzień trzeba było nawet posłać po doktora który skonstatował dwa złamane żebra, zwichniętą rękę i mnóstwo guzów i sińców. Wolf, cały obandażowany i oblepiony plastrami, przeleżał kilka tygodni w łóżku, i skoro wyzdrowiał zupełnie, został przez swego pana własnoręcznie wyrzucony za drzwi.

— Szukaj sobie innej służby — zawołał jego pan — u mnie dla takich jak ty łajdaków nie ma miejsca!

Wolf w bardzo się przykrem znalazł położeniu. Pieniędzy nie miał wiele, ale nie pozostawało mu nic innego, jak zwinąć manatki i wynosić się czemprędzej.

Później twierdził zawsze, że nagłe wypowiedzenie służby stało się wielkiem dla niego szczęściem, bo otrzymał w Wiedniu miejsce u jakiegoś magnata i teraz rozpoczął na dobre swoją karjerę.

Raz po raz odbierał listy, tyczące jego dziecka.

Najpierw pisał do niego nauczyciel wiejski, donosząc mu, że mała Hanusia bardzo ładnem jest dzieckiem, ale że biega boso i potrzebuje koniecznie pary trzewików i ciepłej sukienki na zimę. Potem pisał ksiądz, że ojciec musi starać się o utrzymanie dziecka, że ma płacić małą chociaż sumę ludziom, u których Hanusia mieszka, bo mając stosunkowo dość znaczny dochód, nie może żądać, aby obci ludzie utrzymywali jego córkę.

Wolf posyłał za każdym razem trochę pieniędzy i po kilku latach otrzymał dziękczynny list, pisany ręką Hanusi. Nie miał on czułego serca, ale dziwna rzecz! Gdy przeczytał po raz pierwszy słowa „kochany ojcze'', nie mógł się już rozstać z tym listem i schował go tam, gdzie leżały banknoty i najcenniejsze akcje. Od tego czasu posyłał częściej pieniądze swej córce, i gdy mu nauczyciel donosił, że zbliża się pierwsza jej Komunja święta, kupił piękną białą suknię, złoty łańcuszek z krzyżykiem i dołączywszy do tego, z ciężkiem wprawdzie sercem, banknot stoguldenowy, posłał wszystko Hanusi.

Trzy tygodnie później otrzymał obraz córki, w białej sukni. Nauczyciel sam wymalował ją. Ach, jaka Hanusia była piękna! Wolf nie mógł się dosyć napatrzeć na tę śliczną, słodką twarzyczkę, kazał obraz oprawić za szkłem i powiesił go nad swojem łóżkiem. Gdy zaś w nocy spać nie mógł, gdy myśli okropne go dręczyły, wtedy brał wizerunek dziecka swego i spokój wracał mu do serca.

O Hanusi myślał teraz Wolf — to była wiosna, która miała mu dom opromienić.

I zaczął liczyć lata — Hanusia musiała zacząć właśnie dziewiętnasty rok!

Uniesiony nagłą tęsknotą, postanowił nie czekać dłużej, tylko jechać natychmiast po córkę. Mieszkańcy wsi dawno już pewnie o nim zapomnieli, mógł się więc odważyć na tę podróż.

I tak zajechał pewnego dnia przed pamiętną karczmę wiejską wspaniały ekwipaż, a karczmarz z nizkiemi ukłonami pytał otulonego w kosztowne futro pana, czem może mu służyć.

— Nie możecie mi powiedzieć — rzekł przybyły do karczmy, — gdzie tu mieszka młoda dziewczyna, imieniem Hanusia.....

— Hanusia! — odpowiedział karczmarz, zacierając ręce. — Proszę, niech jaśnie pan wejdzie do pokoju, a ja zaraz wszystko o niej opowiem. Mam dobre wino, obiad też zaraz, będzie, moja żona sławną jest kucharką — i jeżeli by jaśnie pan.....

— Dobrze, dobrze, później zjem obiad i napiję się wina, ale najpierw muszę poszukać Hanusię!

— Tak, ale my tu mamy we wsi siedemnaście Hanusiów. Czy jaśnie pan ma na myśli córkę Lipskiego, czy córkę Haleckiego, czy Smoguli, czy.....

— Nie, nie, biedną sierotę, — przerwał znowu Wolf gadatliwemu gospodarzowi. — Ma ona ośmnaście lat, matka jej umarła już dawno. — —

— Ach tę! Ona mieszka u nauczycielów, w szkole. Śliczna dziewczyna!

— Ładna, rzeczywiście?

— Jak róża! I cnotliwa, jak rzadko która dziewczyna w tym wieku. A jaka mądra, jak ona się w szkole dobrze uczyła! Pan nauczyciel bardzo się nią zajął, wychował jak własną córkę, bo to rodziców nie miało. Matka umarła zaraz po jej urodzeniu, a ojciec — ten gałgan — nie chciał się z matką ożenić i o dziecko też się z początku nie wiele troszczył. Potem później przysyłał na nią pieniądze, ludzie mówią tu, że on bardzo jest bogaty!

Wolf stał z zaciśniętemi ustami, wzmianka o ojcu wcale mu przyjemną nie była.

Potem poszedł natychmiast do domu nauczyciela.

W sieni nikogo nie zastał, ale z pokoju dochodziły go wesołe śmiechy i teraz odezwał się jakiś drżący głos męzki:

— Nie spadnij, Hanusiu! nie spadnij!

Wolf otworzył drzwi i ujrzał stojącą na drabce śliczną młodą dziewczynę, zakładającą firanki przy oknie.

To tylko mogła być jego córka i na myśl o tem spłynęły dwie gorące łzy po jego bladej, pomarszczonej twarzy.

— Zejdź Hanusiu, — mówił ten sam głos, — tu jakiś obcy pan wszedł do pokoju!

Był to stary nauczyciel, siedzący przy piecu.

Hanusia szybko zeskoczyła z drabki, ale zaledwie spojrzała na Wolfa, załamała ręce i drżącemi szepnęła ustami:

— Boże, wszakżeż to mój ojciec!

Głębokie wzruszenie ogarnęło serce Wolfa. Najchętniej byłby zapłakał, ale to przecież nie wypadało! Ujął więc tylko ręce córki, przyciągnął ją do siebie, a ona płacząc, tuliła się do niego i powtarzała ciągle:

— Mój ojciec! Mój ojciec!

— Tak, przybyłem tu, — odrzekł Wolf, — aby cię zabrać z sobą do Wiednia. Będziesz mieszkać ze mną w wspaniałym domu, w którym tak mi teraz pusto! Jeżeli się zgodzimy, to zostaniesz na zawsze u mnie, jeżeli zaś nie, w takim razie wrócisz tu dotąd!

Były to słowa dosyć ostre i Wolf sam nie wiedział, dla czego je wymówił.

Hanusia cofnęła się, a gorący rumieniec okrył jej śliczną twarzyczkę.

— Spodziewam się ojcze, — rzekła, — że pozyskam twoją miłość i twoje zadowolenie, i dziękuję ci z całego serca za to, że przyjechałeś po mnie i że chcesz mnie zatrzymać u siebie!

— Więc opuścisz nas na zawsze, — zawołał z żalem stary nauczyciel.

Hanusia pobiegła do niego i ucałowała czule jego ręce.

— Wybacz mi, kochany opiekunie, — szepnęła, — wiem, że jestem niewdzięczną, ale to mój ojciec! Ach ja o tobie nigdy nie zapomnę, twoja dobroć....

— Nie, nie, — przerwał stary, — ja tylko wypełniłem mój obowiązek, nie masz mi za co dziękować. Musisz iść z ojcem, moje dziecko, to twoja powinność. Cieszę się jednak, że oddaję mu córkę uczciwą, zacną, cnotliwą, taką, jak właśnie jesteś!

— No, więc pożegnaj się i pójdź ze mną, — zawołał Wolf. — Teraz nie trzeba już płakać, teraz będziemy się śmiać i bawić! Obiad zjemy w karczmie i zaprosimy także twego opiekuna! Nie chodzi mi dziś o parę guldenów, choćiaż uprzedzam cię, moja córko, że jestem bardzo oszczędny!

Wzruszenie już minęło, nędzny samolub odezwał się znowu w Wolfie. Zacnemu nauczycielowi, który przez tyle lat opiekował się z ojcowską prawdziwie troskliwością jego dzieckiem, nie umiał podziękować inaczej, jak zaproszeniem na obiad.

Ani Hanusia, ani nauczyciel nie chcieli iść na ten obiad, ale Wolf uparł się na swojem i w końcu musieli się oboje zgodzić na jego żądanie. Chciał on całej wsi pokazać jak bogatego ojca ma Hanusia!

Ha, ha, tam we dworze służył niegdyś jako biedny lokaj, dziś może się zapytać dawniejszego swego pana:

— Ile chcesz za twój dom, za twoje pola i lasy?

I byłby mu rzucił garść złota!

Wolf umiał korzystać z czasu i wyzyskać ludzi, tylko, że czasem zdawało mu się, że hrabia Orszański stoi za nim i mówi mu pocichu:

— Ukradłeś wszystko! Wszystko co masz, jest kradzionem, a ty pomimo twego miliona byłeś, jesteś i pozostaniesz na zawsze — lokajem!

Obiad w karczmie był nadspodziewanie dobry, wino także wcale było nie złe.

Wiadomość o przybyciu ojca Hanusi rozeszła się lotem błyskawicy po wsi — wszystko więc co żyło, biegło do karczmy, aby się naocznie przekonać o tem. W stajni podziwiano piękne konie, w karczmie samej zaś siedziało kilkunastu wieśniaków i patrzało z zazdrością na suto zastawiony stół Wolfa. Byli tam i ci, którzy go wówczas tak mocno poturbowali, ale nie zdradzili się z tem wcale.

Wolf w świetnym był humorze i uniósł się do tego stopnia wspaniałomyślnością, że kazał częstować winem wszystkich obecnych wieśniaków.

Wśród tej ogólnej wesołości była Hanusia dziwnie smutną. Czuła ona, że z dzisiejszym dniem skończyła się jej swobodna młodość, i że to, co zyska, nie wynagrodzi jej spokoju i szczęścia, jakiego tu doznawała.

Następnego dnia wyjechała z ojcem do Wiednia.

Nie była ona nigdy jeszcze po za granicami rodzinnej wioski i nie znała wcale świata. Ale czytała dużo i słyszała niejedno od nauczyciela, który w młodych latach dużo podróżował, i była ciekawą ujrzeć te wszystkie cuda, o których nieraz marzyła!

Cieszyła się na piękny Wiedeń, na modry Dunaj — wszystko to miało dla niej nadzwyczajny urok. Może zobaczy kiedy cesarza, może ojciec zaprowadzi ją do teatru.....

I zapomniała o starym opiekunie, zapomniała o smutnych przeczuciach — jak można się smutnym oddawać myślom, mając lat ośmnaście, piękność i ogromny majątek!

Dla ojca postanowiła być najlepszą córką. Chciała mu we wszystkiem być posłuszną, odgadywać jego życzenia i okazywać mu serdeczną wdzięczność za wszelkie dobrodziejstwa.

Wolf patrzał na córkę i bardzo był z niej zadowolony. Winszował sobie nawet szczerze pomysłu sprowadzenia jej do Wiednia — tak piękną córką mógł się wszędzie poszczycić. Kto wie — piękność to potęga — może znajdzie się jaki wielki pan, który zachwycony Hanusią — ożeni się z nią!

I tak przybyła Hanusia do Wiednia, szczęśliwa i ufna w przyszłość bez chmurki!

ROZDZIAŁ XXV.

Tylko nauczyciel muzyki.

Dom Wolfa ożywił się niezmiernie. Inne teraz było tu życie, niż dawniej. Obszerne mieszkanie nie było już tak pustem, wszędzie brzmiał śmiech i wesoła piosenka.

Podczas kiedy dotychczas siedział wieczorem zawsze przy biurku i liczył pieniądze, nie miał teraz tyle czasu, aby zapisać wydatki dzienne. Hanusia umiała go tak zabawić i zająć sobą, że o wszystkiem zapominał.

Stał się też o wiele przystępniejszym i łagodniejszym dla swoich dłużników, tak, że zamiast trzysta procent brał tylko najwyżej piędziesiąt.

Kto pochwalił Hanusię, kto mówił, że jest piękną, ten zdobywał sobie od razu jego serce. Stara kucharka musiała opuścić służbę, bo nie chciała znosić rządów młodej dziewczyny, na jej miejsce przyszła inna, jeszcze starsza. Lokaj był mądrzejszym — wypełniał wszystkie rozkazy Hanusi z wielką pokorą, ale w duszy przeklinał ją — miał teraz bowiem więcej do roboty, jak dawniej.

Oprócz tego czynił tak, jak Wolf przed laty, to jest, okradał swego pana, a robił to tak zręcznie, że podejrzliwy Wolf niczego się nie domyślał. I to jednak skończyło się z przybyciem Hanusi, bo ona sama miała teraz kasę w swoich rękach i liczyła pilnie każdy wydany grosz.

— Jaka ona oszczędna, — myślał Wolf zadowolony, — umie trzymać pieniądze! Widać, że to moja córka — po mej śmierci nie rozpadnie się mój majątek, byleby miała porządnego męża! Muszę się zaraz obejrzeć za stósownym dla niej mężem.

Wcale się teraz Wolf w domu nie nudził. Wieczory zimowe, które mu się takie długie zawsze zdawały, mijały obecnie. jak jedna chwila. Hanusia grała z nim w szachy, czytała mu, albo też śpiewała ładne piosenki ludowe, które tak bardzo lubił.

— Ach, ojcze, — rzekła pewnego razu, — jabym się tak chętnie uczyła grać na fortepianie! Kup mi skrzydło!

— Czy umiesz już trochę? Znasz nuty?

— Tak, ale to też wszystko, co umiem. Uczyłabym się pilnie, aby ci wieczorami zagrać ładne sztuki — jestem pewna, żeby ci się to bardzo podobało!

Dwa dni później kupił Wolf fortepian — nie nowy wprawdzie, tylko u tandeciarza, ale dosyć jeszcze dobry.

Chciał córce zrobić przyjemność bez wydania wielkiej sumy.

Radość Hanusi nie znała granic.

Ale teraz trzeba jeszcze było mieć nauczyciela, i w tym celu posłał Wolf ogłoszenie do gazet.

— Wezmę pierwszego, który się zgłosi, — pomyślał, — byleby nie żądał za wiele!

Ale pierwszy i drugi żądali po dwa guldeny za lekcyą, trzeci zaś tylko guldena, i tego postanowił Wolf angażować.

— Tego wezmę, — rzekł Hanusi, — jest to bardzo skromny człowiek, żąda o połowę mniej, niż inni, a jestem przekonany, że zna się lepiej na muzyce, niż oni!

— Jak chcesz, kochany ojcze! Jakże się nazywa mój przyszły nauczyciel?

— Franciszek Wessely! Napiszę mu zaraz, aby jutro przyszedł!

— Franciszek Wessely, — pomyślała Hanusia, — jak to ładnie brzmi!

Nie przeczuwała jeszcze, że imie to stanie się jej przeznaczeniem, że stanie się jej najdroższem na świecie!

Nazajutrz, gdy Wolf siedział z Hanusią przy szachach, rozległ się głos dzwonka i zaraz potem wszedł młody mężczyzna do salonu.

(Ciąg dalszy nastąpi).